

HARMONIA SPOŁECZNA.

II.

Walka klas.

„Kochaj bliźniego swego jak siebie samego“ oto przykazanie w którem już przed kilkoma tysięcami lat skrystalizowało się dążenie ludzkości do harmonii społecznej i znalazło swój wyraz w moralnym nakazie, co w takiem samem lub zbliżonem brzmieniu, stanowiącem podstawę etyki religijnej, wyrażał ideał społeczny wszystkich ludów, zdążających do wyższej kultury i form społecznych szlachetniejszych.

Gdyby sam nakaz moralny wystarczył — ludzie powinni się już byli nauczyć miłować się wzajemnie; gdyby nagroda lub kara, rozstrzygała o woli człowieka do czynu, nadzieja i lęk byłyby już ukształtowały duszę ludzką tak, że nadużycia władzy i bunt podwładnych byłby zjawiskiem niemożliwem; gdyby siła w swych najróżnorodniejszych objawach miłością była natchniona, a słabość w miłości tej ufając, od krzywdy wszelkiej czuła się bezpieczną, królestwo Boże dawnoby już ogarnęło świat.

Wiemy, że tak nie jest dotychczas. Nawet pośród chrześcian, — co przykazanie miłości za pierwszy, możnaby powiedzieć za jedyny, mają obowiązek, gdyby ktoś chciał trzymać się ściśle słowa ewangelii, miłowania tego niema. Silny nie kocha, a gardzi słabym, bogaty nie kocha,a wyzyskuje biednego, mądry nie kocha a lekceważy głupiego, ci

zaś wszyscy: słaby, biedny, głupi, nie kochają a lękają się, od siebie mocniejszych, i pragną siłę ich zrównoważyć ze swoją słabością przez podstęp, chytrość — walkę.

Każdy wie, że nakazy i prawa zostają ze swoją siłą niezłomną niewzruszone, a dusze ludzkie idą taką drogą, jaką iść muszą, często w kierunku wprost przeciwnym, niż go drogoskazy moralne wskazują. Czy dla powagi nakazu, należy zamykać oczy na to, że istnieje on po to, aby był omijany, czy też byłoby praktyczniej i bezpieczniej, na życie samo patrzeć i przekonać się, że ono drogą wykroczeń i buntów przeciw nakazom, zdąża do tego celu właśnie, który przykazania te miały na celu?

„Kochaj bliźniego, jak siebie samego“, mówi przykazanie — które stworzyłoby najcudniejszą harmonię społeczną, gdyby było wykonalnem, a życie przeczy mu walkę o byt, która wśród rozszalałych żądz, porywa wszystko co żyje, począwszy od nędzarza, wydzierającego drugiemu żebrakowi grosz rzucony na ulicę, bo go tamten nie zdążył pochwycić, aż do miliardera, zdobywającego potęgę z krwi potu i łez milionów, które w chaosie tym dostały się pod jego moc.

Ale życie pokazuje nam również, że mimo wszystko, ono zdąża do tej samej harmonii, którą miał na celu ów pierwszy nakaz moralny, tylko inną drogą. Z chaosu wydobywa się jakiś porządek, jakiś ład, jakieś ukochanie wzajemne związanych ze sobą jednostek, chaos zamienia się w walkę. — Ci co kochać się nie mogli i mimo wszelkich nakazów i przykazań, wrogami sobie byli co dnia, co godzinę, wszędzie, zawsze — w tem zmaganiu się nieustannem słabości z siłą, stają naprzeciw siebie, nie w chaosie już ale w ładzie i porządku do walki, zrównanych nagle sił. Po jednej stronie ci, co byli zawsze potęgą — po drugiej ci, co poczuli się potęgą przez złączenie się razem w miłości — solidarności

A walki tej cel... dążenie... to owo przez miłość bliźniego zapowiedziane Królewstwo Boże — harmonia społeczna — kiedy zmierzywszy swoje siły, walczący poznają, że równi są i jak równi podadzą sobie ręce.

Marya Turzyma.

ZWIĄZEK WZAJEMNEJ OCHRONY KOBIET.

Pod tem nazwaniem istnieje w Holandyi związek, ogarniający coraz szersze kręgi, który w historyi ruchu kobiecego ma wielką doniosłość.

Oto co o nim czytamy w ostatniem sprawozdaniu tego towarzystwa:

„Wzajemna ochrona kobiet“ to nazwa, której wielu nie rozumie. Uważamy więc za stosowne ze względu na samą sprawę wyjaśnić ją dla zrozumienia i poparcia ogółu.

„Każdy wie, co ma rozumieć przez ochronę kobiet; jest to niejako odłam dawnego miłosierdzia, które uznaje konieczność egzystencyi ludzi potrzebujących ochrony, i ludzi, którzy mogą ochrony udzielać.

„Wzajemna ochrona kobiet zawiera myśl, że kobiety same między sobą ochrony ciągle potrzebują, z tem zaś pojęciem większość oswoić się nie może. A jednak bez wątpienia wszystkie kobiety potrzebują ochrony, mogą jej potrzebować zawsze w tych wypadkach, w których mężczyznom jest ona zbyteczna, ponieważ oni sami się chronią — przez prawa.

„Jakkolwiek nie chcemy twierdzić, że mężczyźni umyślnie tak prawa ułożyli, aby siebie uprzywilejować, kobiety zaś upośledzić, jednakże jest to niezbitym faktem, że te prawa stały się dla kobiet przygniatającym ciężarem, który najsilniej daje się odczuwać — w macierzyństwie.

„Macierzyństwo, które mogłoby być największą siłą kobiety, stało się jej słabością. Póki kobieta nie zostanie matką, jest stosunkowo wolną i niezależną, nawet w małżeństwie. Czem będzie jako matka, to zależy wyłącznie od okoliczności, od przypadku.

„Zamężnej grozi niebezpieczeństwo, że przez macierzyństwo stanie się niewolnicą swego męża; niezamężna naraża się na to, że macierzyństwo przyniesie jej — hańbę.

„Ten fakt, że ani jednej z kobiet prawo i obyczaje nie uwalniają od ujemnych skutków macierzyństwa, sprawia to, że możemy o „wzajemnej“ ochronie kobiet mówić tam, gdzie chcemy przedewszystkiem przyjść z pomocą niezamężnej matce i dziecku zrodzonemu po za małżeństwem.

„Matka niezamężna dźwiga zupełnie sama ciężar odpowiedzialności za czyn, popełniony przez dwoje. Dziecko „nieprawe“ skazane jest za czyn, w którym najmniejszego udziału nie brało, na pozycyę w społeczeństwie nieuregulowaną, która je przez całe życie hańbą piętnuje.

„Prawne skutki macierzyństwa poza małżeństwem są jeszcze spotęgowane warunkami społecznymi. Matkę niezamężną uważa się za winną, darzy się ją pogardą jak przestępczynię.

„Nic też dziwnego, że w czasie długich miesięcy ciągły strach tak

dręczy niezamężną matkę, że potem — kiedy dziecko przyjdzie na świat — strach ten zamienia się w rozpacz, prowadzącą często do dzieciobójstwa. A jeśli nieszczęśliwa nie zdobędzie się na tę straszną odwagę, żeby własną dłonią pozbawić życia maleństwo, które krwią własną karmiła i które porodziła w tysięcznych obawach i troskach — jakiż los będzie tej istotki? Odda dziecko „na mamki", skazując je na powolną śmierć z rąk ludzi, którzy biorą jedynie dla zysku i o tyle tylko niem się zajmują, o ile tego wymagają pozory, aby się uchronić od zarzutu morderstwa.

„Nie jest-że to rzeczą niedorzeczną, że podczas gdy kobieta zamężna jest przez prawo uważana za niepełnoletnią, postawioną na równi z obłąkanym, z idyotą, we wszystkiem co dzieci jej dotyczy, kobieta niezamężna może z dzieckiem swem uczynić co się jej podoba, byle go tylko nie zamordowała. Wtedy bowiem przychodzi prawo z żelazną surowością i skazuje nawet piętnastoletnią matkę na więzienie, zamiast ulitować się nad nieszczęsną i na jej miejsce postawić pod pręgierzem mężczyznę, który ją do tego doprowadził.

„A jeśli dziecko żyje — skąd weźmie matka pieniędzy na opłacenie kosztów jego wychowania? Najczęściej zapasy jej są wyczerpane kosztami poniesionymi w czasie choroby, często popada w długi i musi przedewszystkiem z nich się wydobyć. Jeśli dostanie służbę co jej nie łatwo przyjdzie, kiedy dowiedzą się, że miała dziecko, to i wtedy nawet czyż zasługi jej wystarczą na opłacenie kosztów dla dziecka i na własne potrzeby, ubranie itd.?

„Cóż więc ma czynić? Jedna droga przynajmniej zostaje otworem, droga na którą tyle już dziewcząt poszło, a którą szczególniej w większem mieście tak łatwo znaleść, droga prostytucyi, która jedna da jej możność utrzymania siebie i dziecka.

„Takto społeczeństwo, prawo i opinia publiczna popychają kobietę do dzieciobójstwa i do prostytucyi, pozbawiając dziecka nietylko ojca, do którego ma prawo, ale równocześnie i matki, którąby mogło szanować.

„W przekonaniu, że kodeks karny zarówno jak społeczeństwo nie mają prawa zwalać na kobietę odpowiedzialności, za czyn popełniony wspólnie przez kobietę i mężczyznę, a przedewszystkiem obciążać niewinne dziecko piętnem hańby, Związek wzajemnej ochrony kobiet.

1) protestuje przeciwko wszelkim ustawom, krzywdzącym dziecko nieślubne wobec dziecka legalnego małżeństwa,

2) pragnie wniknąć w obyczaje w tym duchu, aby czyny mężczyzn i kobiet były tą samą miarą sądzone, przedewszystkiem zaś przez zmianę opinii sprowadzić reformę praw odnośnych,

3) ma na celu wspieranie ofiar obecnego systemu prawnego i oby-

czajowego, łagodzenie ich cierpień i obronę wobec praw w każdym wypadku, w którym mężczyźni są uprzywilejowani.

„Do urzeczywistnienia tego ostatniego punktu programu potrzeba większych funduszów. Mała pomoc pieniężna na czas słabości jest jakby szyderstwem wobec potrzeb matki i dziecka.

„Jak dopomożemy jej, gdy będzie już w stanie zabrać się do pracy? Gdzie znajdziemy dla niej miejsce takie, aby jej i dziecku utrzymanie zapewnić? Co poczniemy z tylu młodymi matkami, które dopiero muszą nauczyć się pracy? Co poczniemy z tymi, które tyle sił utraciły pod ciosami losu, że spokój pierwszym jest warunkiem, aby walkę o byt na nowo podjąć mogły? Jakąż pomoc damy tym złamanym i bezsilnym, dla których życie byłoby możliwem tylko w wyjątkowo korzystnych warunkach?

„Na to zwykłe, nieregularne dochody towarzystwa absolutnie wystarczyć nie mogą.

„Na to trzeba osobnego funduszu, posiadającego charakter trwałości, który dawałby akcyi związku pewną podstawę.

„Działalność Związku zajmuje wprawdzie poboczne miejsce w pracach społecznych, ale znaczenie jej jest ogromne, ponieważ dąży do przywrócenia kobiecie stanowiska bardziej poważnego, bardziej wpływowego.

„Dlatego polecamy gorąco Związek nasz dobrym chęciom wszystkich poważnych, dobrze myślących mężczyzn i kobiet!“

Ponieważ statut „Krakowskiego Związku kobiet“ posiada pośród zadań swoich, jako jeden z celów zaznaczoną ochronę macierzyństwa — sądzę, że bliższe szczegóły, jak kobiety holenderskie, które wydały powyższą odezwę, ochronę tę zorganizowały u siebie — będą dla czytelników „Nowego słowa“ zajmujące i podam je w najbliższym numerze — a może świetne rezultaty „wzajemnej ochrony“ kobiet — gdzieindziej uzyskane — zachęcą przyspieszenie tej akcyi i u nas. *H. Z.*

Z PSYCHOLOGII I PEDAGOGII DZIECKA.

CIĄG DALSZY

II.

Co w swej mitologii ludów Aryjskich idąc za zdaniem Maxa Müllera, przypisuje, nietylko epos Grecki, lecz i wielka ilość mytów Aryjskich, słońcu. Zarówno szczepy Indyjskie, jak lud nasz, polski, rusini, litwini — mają wyrobione pojęcia i wyobrażenia o słońcu, księżycu i gwiazdach. Dzieci, bądź przez atawizm, bądź z własnych impressyj, dają odpowiedzi, dziwnie podobne choć zebrane wśród rozsypanych po szerokim świecie, jednostek.

I tak dzieci amerykańskie, dzieci negrów, ameroindyjskich szczepów

i wiele dzieci wiejskich, rusinów, a nawet w mieście zamieszkałych — na niektóre pytania dotyczące słońca, odpowiadają podobnie.

Np. na pytanie, z kwestyonaryusza G. St. Hall'a i pani T. L. Smith, czy słońce wznosi się o własnej sile i w jaki sposób — na 427 odpowiedzi — 154 — odpowiada tylko, podług podręczników szkolnych; reszta odpowiada dowolnie i czasem bardzo podobnie do naszych np. 43 — „Bóg podnosi słońce". 38 razy — jakaś niewidzialna siła je podnosi, 42 razy — samo się wznosi; a dalej: święci je podnoszą, aniołowie trzymają, by nas ogrzewało; Bóg posuwa je do góry; słońce jedzie na ognistym wozie itd.

Wziąwszy odnośne pytanie z kwestyonaryusza A. Szycówny „Jak badać umysł dziecka" (§ 39) odbieramy wiele takich odpowiedzi: „Pan Bóg trzyma słońce żeby nie upadło", „Samo chodzi po niebie", „Taka wielka kula ognista, biegnie, gdzie jej potrza", „Musi, ktoś trzymać z tyłu, albo święci, albo ktoś silny i mocny" itd.

Albo też, na pytanie: co to jest słońce — dzieci amerykańskie dają odpowiedź:

Dziew. l. 4. Słońce to Bóg.

Dziew. „ 5. Słońce to wóz złoty.

Dziew. l. 9. To taki olbrzym, co chodzi po niebie, codziennie tą samą drogą.

Dziew. — Słońce grzeje w dzień u nas, a nocą w Chinach.

Chłopczyk l. 6. Słońce wychodzi z za gór a w nocy wchodzi w ziemię.

Nasze dzieci:

Dziew. l. 9. Rusinka: To sam Bóg. „Hospód".

Dziew. l. 10. „ To takie wielkie światło co chodzi po niebie

Chłop. l. 6. Rusin. Słońce idzie spać za cerkwią, do rzeki.

Chłop. l. 8. Rusin. Słońce wychodzi z ziemi. Spało w niej całą noc.

Dziew. l. 9. Z kolonii letniej: Słońce grzeje u nas i świeci w dzień, nocą idzie do Ameryki.

Chłop. l. 10. (kol. let. Kijów). To ogromna lampa, co chodzi po niebie itd. itd.

W „Rozwoju pojęciowem dziecka" zebrała A. Szycówna wiele ciekawych odpowiedzi, które podobieństwo to, z wynikami kwestyonaryusza amerykańskiego, silnie akcentują.

Ciekawem jest, że na 285 odpowiedzi, co do strachów nocnych — 73% — czyli 389 dzieci doznawało tego uczucia. Strach ten jest różnorodny: obawa duchów, zmarłych, czegoś nieznanego, rzeczy nadprzyrodzonych, lub wprost obawa ciemności. Niektóre odpowiedzi nauczycielek, wychowawczyń i dozorczyń brzmią:

Kobieta l. 19. Wiele dzieci przyznało się przedemną, że boją się ciemności, niektóre prosiły, by nie gasić lampy.

Kobieta l. 23. Bałam się zawsze ciemności i nie mogę się oprzeć uczuciu przykrego nadsłuchiwania, gdy jestem sama, w pustym domu.

Jedna z dozorczyń pisze o 11-sto-miesięcznem dziecku, które obudziwszy się w ciemnym pokoju, krzyczało przeraźliwie — a uspokoiło się natychmiast, po zapaleniu lampki.

Jedna z nauczycielek, podaje 3 wypadki lęku nocnego, u starszych uczniów, którzy ciemności wprost znieść nie mogli, nie mogąc sobie wytłómaczyć tego objawu.

Dr. Anaugos, dyrektor Instytutu Perkinsa (w Bostonie) — dla ociemniałych, w tej kwestyi pisze: „Dzieci, pozbawione wzroku, podzielają trwogi i przesądy dzieci obdarzonych tym zmysłem. Najczęściej obawy ich są bezpodstawne i wyimaginowane; dzieci te zakrywają pod wpływem lęku głowę kołdrą, tulą się jedne do drugich, kładą głowy pod poduszki. Nie chcą wychodzić same po ciemku, szukają towarzyszy. Jedno z nich, zapytane o powód tego lęku, mówi: „Ja się ciemności nie boję, ale boję się tej śmiertelnej ciszy".

Dr. G. St. Hall, radzi, przyzwyczajać dzieci wcześnie do ciemności, nie palić lampek, choćby o najmniejszem świetle — nigdy jednakże siłą lęku tego nie zwalczać, a w razie częstego zrywania się i płaczu, przerywać niemiłe wrażenie łagodnem światłem i starać się po trochu, wytłomaczyć dziecku, że nie ma się czego obawiać.

Ogólnie działanie słońca, niezmiernie jest korzystne, na rozwój umysłowy i zdolności psychiczne. Wszystkie ody poetów, setki cudnych ich porównań, choć mniej szczere, od ciepłych wrażeń dziecka, dowodzą, ogromnego wpływu słonecznego światła, na twórczość poetycką.

Podróż dzienna słońca, ma się ku końcowi. Słońce chyli się i skłania, wreszcie gaśnie.

Dzień się skończył. Praca i ruch, troski i pośpiech — wszystko ustaje, milknie — nie nadeszła jeszcze noc, ciemna, tajemnicza, z obawą i lękiem, nadchodzi zmrok!

Jest to chwila spoczynku, wytchnienie dla ciała i umysłu, chwila pozwalająca oddawać się marzeniu i rzucić okiem wstecz, na minione dni.

273 — osoby mówi o tem, że lubią zmrok, 79 — unikało zmroku. Z uczuć i wrażeń doznawanych, podczas zmroku, obliczono w zebranych w kwestyonaryuszu G. St. Hall'a odpowiedziach, że najwięcej osób doznawało uczucia spoczynku (127) marzycielstwa (152) poezyi (104) religijnych uczuć (48). Niepokój, smutek, lęk, przykrość, zdarzają się od 17 do 2 razy.

W 114 wypadkach, mówiono obszernie o budzeniu się umysłu, wrażliwości uczuć, myśli, podczas spoczynku, spowodowanego zmrokiem.

Wiele osób dorosłych, młodzieży, uczuwa potrzebę powtarzania jakichś wierszy, poezyi, muzyki lub śpiewu, cichej, poufnej rozmowy.

Zmrok został wyzyskany przez Kościół katolicki, w celach religijnych: Nieszpory, nabożeństwa majowe, Anioł Pański — wszystko to, ze znajomością psychy ludzkiej, zbliża jakoby duszę ludzką, ku Bogu, w tej przedziwnej chwili, kończącego się dnia.

„Powstaje pytanie, mówi G. Stanley Hall, czyby nie udało się wyzyskać zmroku w celach naukowych, szczególniej w celu rozbudzenia wrażeń artystycznych i estetycznych".

Poezya, muzyka, śpiew, w pewnej mierze i malarstwo — wszystko to, dałoby się, być może, wszczepić głębiej i serdeczniej, łatwiej by przemówiło do serca i umysłu, gdyby można było wyzyskać godzinę przedwieczorną.

Dzieci małe, zwykle nie lubią zmroku, robią się senne, zmęczone, za to dzieci starsze i młodzież, różnią się wielce pod tym względem — tu — występuje dusza; przed jej oczyma, staje nowe szersze i piękniejsze życie, powstają wyrzuty sumienia, chęć poprawy, dusza, w tej ciszy i samotności, staje twarzą w twarz z obowiązkiem i ideałami. Jest to chwila najsposobniejsza, powtarzam, dla pedagoga i psychologa i wiele dałoby się zrobić, gdyby była, w sposób właściwy zużytkowaną.

III.

Nieśmiałość i Pokazywanie się*)

Jedną z najważniejszych pobudek, w życiu społecznem człowieka, jest chęć pozyskania sobie życzliwości i dobrej woli ludzkiej. Każdy pragnie by o nim mówiono dobrze, by posiadł przyjaźń i szacunek ogólny.

Majątek, sława, uganianie się za opinią świata — oto czynniki unoszące ludzkość w wir światowych wrażeń. Pochlebstwo upaja — zmienia szacunek osobisty w zarozumiałość, prawdę na jej podobieństwo, czyniąc rozterkę w duszy ludzkiej, dopóty, dopóki nam zamiast człowieka, chodzącego kłamstwa nie da.

Pierwszorzędnem zadaniem nowego wychowania, jest zabezpieczenie dobra, a unikanie zła, w tych pobudkach. Znalezienie złotego środka, pomiędzy zupełnem lekceważeniem ludzkiej opinii, a zbytnią dbałością o nią.

Praca ta, ma na celu wyświetlenie tych pobudek i wytropienie instynktu „pokazywania się," w dzieciach, co będzie nie bez korzyści dla etyki i psychologii genetycznej.

Dziecko przynosi z sobą, jak wiadomo, setki wrodzonych i dziedzicznych skłonności, podlega nadto wpływowi otoczenia, wobec czego, nie-

*) podług G. Stanley'a Hall'a i Theodatę L. Smith. Streszczenie.

zmiernie trudno je wychować na istotę normalną, swobodną, dzielną, szanującą się i zdrową na duszy i ciele. Zadanie to matek i nauczycieli, niezmiernie jest trudne i ważne.

W dzieciach rozróżniamy dwie wady: nieśmiałość i zuchwalstwo, Rozpatrzywszy bliżej nasze wyniki z rozesłanego kwestyonaryusza, widzimy że „pokazywanie się“ wypływa u dzieci z trzech powodów, mianowicie 1) Chęć pochwalenia się siłą, muskularną zręcznością, wyrobieniem gimnastycznem. 2) Chwalenie się ubraniem. 3) Chwalenie się ruchami, mową, wraz z naśladownictwem i przechwałką.

Świadomość osobowości, wywołuje często w dziecku próżność, egoizm, — czasem znów lękliwość i nieśmiałość. W tym razie dziecko zwraca się do matki lub kogoś z najbliższego otoczenia i z całem zaufaniem, powierza im swe smutki i radości, swe postępy w nauce czy zręczności, w robótkach czy zabawie — cały więc rozumny rozwój dziecka, zależy od właściwego pokierowania pojęciem dziecka, w tej chwili wynurzeń — by nie wyrobić próżności i nie zagłuszyć ambicyi.

Obawa nagany, pragnienie usłyszenia pochwały, są tak wielkie, że należy się z niemi bacznie liczyć.

Dziecko wychowane w domu podrzutków, lub ochronie, rozwija się daleko później, aniżeli to, którego każdy ruch, każde spojrzenie i słowo każdy krok znajduje odbicie nietylko w kochającem sercu matki, lecz w głośnych objawach radości, całego otoczenia. Wkrótce dziecko wywoływany przez się podziw, uważa jako swe osobiste prawo i gniewa się i czuje się głęboko pokrzywdzone, gdy nie zwracają ciągle bacznej uwagi na jego popisy.

Dziecko więc ma dwa okresy popisywania się, które trwają od końca pierwszego do 3 — 5 roku, mianowicie pierwszy, nieświadomy, wywołany chęcią zwrócenia uwagi na siebie za pomocą sukienki, ubrania; drugi świadomy, wywołany podziwem otoczenia, w którym dziecko nie dla własnej przyjemności, ale dla pochwały, wykonywa różne żarty, śmieje się, mówi robi miny. Tego rodzaju świadome zachowanie się, może być czynnikiem wzrostu umysłowego i moralnego, częściej jednak wywołuje niezmiernie przykre dla ogółu „pokazywanie się“ przechwałki, zarozumiałość, a wreszcie egoizm.

Parę przykładów, dowodzących wyraźnej chęci zwrócenia na się uwagi, w celu wywołania pochwały:

Chłop. l. 4. Gdy zauważy, że nań patrzą, biegnie szybko i nagle pada.

Chłop. l. 4. Rzucał piłkę, gdy go za zręczny rzut pochwalono: „Patrzcie teraz jak ja rzucam laskę!“

Dziew. l. 4. do gości: „Czy chcielibyście zobaczyć, jak ja tańczę?

Dziew. l. 4. Chcecie zobaczyć moje figle? Czekajcie, zaraz wam je pokażę.

Chłop. l. 9. Chodźmy na dwór, pokażę wam jak umiem skakać, wy tak z pewnością nie potraficie.

Uznanie dla ładnych sukien, zjawia się niezmiernie wcześnie u dziewczynek i tem różni je wielce od chłopca, gdyż z natury rzeczy wypływa że zwracają mniej uwagi na jego ubranie, co jest niezmiernie korzystne dla normalnego rozwoju dziecka. Pierwsze ubranie męzkie, wywołuje entuzyastyczną radość i pewnego rodzaju dumę, co często ma ogromnie uszlachetniający wpływ — dodaje ważności, czyni więcej samodzielnym i odpowiedzialnym — wywołuje często zupełny odwrót w dotychczasowych pojęciach chłopca i dlatego lepiej, gdy zbyt wcześnie ubrania męskiego nie nakładają dziecku.

Dziewczynka 4 — 5 letnia, skrępowana strojem, boi się usiąść, bawić swobodnie — by sukni nie uszkodzić. Jest to wpływ ciągłych przestróg, który wrodzone kobiecie zamiłowanie porządku i pewnej elegancyi — zmienia zbyt często w próżność i chęć zrobienia na kimś wrażenia, lub wywołania zazdrości. Tego rodzaju chęć — dziewczynki umieją doskonale pokryć, udając, że im wywołane wrażenie, zupełnie jest obojętne i tu wielka jest różnica z chłopcami, którzy lubią, gdy ktoś ich pochwali, rzadziej jednak próbują to pokryć. Zauważyć należy, na podstawie badań, że systematyczna chęć przypodobania się strojem, nie należy do rzędu świadomych wrażeń chłopca, raczej, jest to specyalność, czysto kobieca.

Dziew. l. 3. Czyż nie jestem bardzo elegancka ciociu? Mam nową sukienkę, ubraną koronką i wstążką! Patrz!

Dziew. l. $4^1/_2$. Włożywszy nową sukienkę „Patrzcie czy nie jestem śliczna?“

Cłop. l. 5. Pierwsze spodenki. Kładzie ręce w kieszenie, chodzi dużymi krokami, tupie, kopie.

Chłop. l. 10. Uszczęśliwiony z wojskowej czapki.

Dziew. l. 1. miesięcy 9. Jak tylko miała nową sukienkę, kręciła się i okrążała wszystkich, dopóki tego nie zauważono.

Nie tylko dobrze ubrane dzieci posiadają świadomość pięknego ubioru — dzieci biedne, które mają ubranie tylko po to, by od zimna i nagości chroniło, ogromnie są wrażliwe na strój. — I tak — chłopcy, czują się upokorzeni, w gronie lepiej ubranych — dziewczynki pragną bądź co bądź, naśladować, strój bogatszy, stąd brudne kokardy, przy połatanych sukienkach, podarte kapelusze, ubrane kwiatem z śmietnika itd. Lepsze ubranie, mieszkanie i meble, majątek — wszystko to wywołuje przechwałki i kłamstwa.

We wszystkich warstwach społecznych, strój zajmuje ważną kartę

w psychologii kobiety, stając się często ujemnym czynnikiem, w jej etycznym rozwoju. Należałoby przeto poświęcić sprawie stroju kobiecego, specyalne badania.

Pokrewne tym jest naśladownictwo głosu i ruchów starszych, szczególniej lubianych przez dziecko, osób. Lecz i tu występuje różnica pomiędzy dziewczynką a chłopcem.

Chłopiec naśladuje tęgość, siły, męzkie ruchy, głos, postawę. Dziewczynka lubi afektować odebrane wrażenia, szczególniej często wpada w jej oczy, przesada i nienaturalność. Byłoby błędem wychowawczym, sprzeciwiać się temu, gdyż jest to czynnik pomocniczy, w wyrobieniu wymowy, nabraniu manier i dystynkcyi i należy tylko obawiać się złych wzorów i robić staranny wybór, w najbliższem, obcem, a ciągłem otoczeniu dziecka.

Mowa i ruchy — to odbicie otoczenia na wrażliwość dziecka; i tak wśród ciągłego naśladownictwa, urabia się ono na nowego człowieka i z nich to wnosić możemy o gustach i upodobaniach dzieci, gdyż naśladują one tylko to, co się im podoba i co odpowiada ich osobowości.

W o g ó l e „pokazywanie się“ zdaje się być raczej własnością chłopców: 78% chłopców, 22% dziewcząt naliczyliśmy wśród naszych danych.

Dziecko moralnie zdrowe i niezepsute postawione oko w oko z obłudą, której podlega, udając, że coś umie, zrobiło, wie lub nie wie — wstydzi się zawsze i często okazuje poprawę, ale wogóle dzieci nie mając zmysłu analitycznego – często nawet same przed sobą, udają.

C. d. n. *Anna Grudzińska.*

UWAGI NA CZASIE.

O służących prasa nasza pisze bardzo mało. W dziale wiadomości policyjnych znajdzie się czasem doniesienie, iż służąca popełniła kradzież; czasem znajdzie się w kronice jakiś dowcip, wykazujący, iż obecnie chlebodawczynie znajdują się w niewoli babilońskiej albo egipskiej służby. Lecz prawda. Czasem okazują się w pismach „poważnych“ wiadomości o zakładaniu stowarzyszeń dla podniesienia moralności wśród sług, lub wreszcie dla odmiany list jakowegoś mamuta, wspominającego z żalem dawne czasy, w których służba lepszą była. Tyle wie prasa o doli tych istot. Nawet ta dwu i trzy centowa prasa, którą czytają służące, która dla służących jest często jedyną strawą umysłową, więcej miejsca im nie poświęca. Obecnie słychać o nich więcej. Jedna stała się bohaterką szukaną przez ajentów policyjnych. Dzienniki piszą więc o niej, podają z detalami, jak wyglądała. Stała się bohaterką i kosztem 21 przeohydnych ran tasakiem zadanych zwróciła uwagę prasy na swoją dolę i na swe towarzyszki. Zmasakrowany

strasznie trup chlebodawczyni uczynił ją popularną „straszną, okrutną służącą", której pojawienie radością napawa brukowego redaktora. Reporterzy pism zadowoleni. Zamordowana bohaterką się staje, służąca tarczą, na którą padają wszelakie napaści. Między chlebodawczyniami jednak strach. Jedna i druga patrzy z lękiem na służącą, którą maltretowała kaprysami, staje się grzeczną..., rozumie się, aże strach przeminie.

Nas pobudza ostatni wypadek do wypowiedzenia kilku myśli. Nie chodzi nam o senzacyę, nie chodzi o służącą, która zamordowała swoją chlebodawczynię. Nie naszem zadaniem ją bronić. Za mało znamy okoliczności, wśród których zbrodnia dokonaną została, by to czynić. Zresztą s a l a s ą d o w a będzie miejscem do tego stosownem, na obronę nie miejsce w p r a s i e; obrona nasza byłaby wreszcie mniej może wymowna, aniżelibyśmy pragnęli

Nie będziemy nic mówili o zamordowanej, by nie pójść śladem prasy brukowej, która dla zamordowanej ma litość, a dla tej, która może wkrótce w obliczu śmierci się znajdzie, jeno p o t ę p i e n i e.

Usuwamy tło osobiste mało zresztą znane, a powiedzieć pragniemy słów parę o naszych służących, o tem, co umożliwia wypadki jak ten, który poruszył w takim stopniu Kraków w dniach ostatnich.

Zazwyczaj są to córki chłopskie. Przychodzą do miasta jako młode dziewczęta! Wówczas nie cechują ich szczere owe „zalety", jakiemi darzy je później fantazya „pań". „Jest członkiem koła domowego" mówi przepis dla służących, umieszczony w książce roboczej. Tenże sam przepis mówi jej również, iż „wobec swego służbodawcy obowiązany jest sługa do posłuszeństwa, wierności, uszanowania, baczności i otwartości." A więc z obowiązku ma być naczyniem cnót pełnem. Przyszedłszy ze wsi jest zwykle cichą i potulną. Nie umie wiele, ale odpowiada warunkom mówiącym jej, iż „ma się stosować do porządku domowego, przez służbodawcę zaprowadzonego, a rozkazy upomnienia i nagany ze strony służbodawcy przyjmować powinna z uszanowaniem i skromnością."

Typ taki nazwany jest w języku pań „śturmokiem". Ale niedługo dziewczyna nim jest. Pracuje dzień cały, wyczerpana wychodzi wieczorem do drzwi domu, poznaje się ze służącemi kamienicy i dowiaduje się rozmaitych rzeczy o świecie. Do bramy tej przysunie się wkrótce członek drugiej płci, w tak wabiący odziany mundur, taki ponętny. Służącą poczyna wabić życie, wyciągnęło już do niej macki. Początkowo nie wyjdzie z żołnierzem na miasto. Płonie tylko, gdy słyszy jego opowieści o tem życiu, o jego bujności. Już nieznośną jest jej monotonia służby, jej ciągłość, brak wolnej chwili. Już jest niezadowolona. Rozpoczyna wędrówkę po służbach. Szuka lepszej. Rozpoczyna się zwykły bieg rzeczy. Służąca pracuje bardzo dużo. Zazwyczaj jest niekwalifikowana, robi wszystko. Wstaje wczesnym rankiem, czyści buty, gotuje śniadanie, zamiata, idzie na kupno, gotuje obiad, czyści

naczynie, co razem zabiera czas do piątej. Wtedy wybiega na miasto, aby „pohulawszy“ wrócić wieczór do nowej pracy. To jest służąca niezamożnych rodzin. Ale i ta kwalifikowana, czy to jako kucharka, lub pokojówka nie wiele się ma lepiej. Wszak regulamin mówi: „Nawet do pewnych tylko zatrudnień przyjęty służący powinien na żądanie służbodawcy pełnić inne usługi.“

Mógłby niejeden powiedzieć, iż panie zazwyczaj regulaminu nie czytają. Prawda. To też praktyka życiowa jest często dla służących gorszą aniżeli regulamin.

Przedmiotem ciągłych zatargów i sporów jest sprawa wolnego czasu. Niemożliwem wprost jest, by człowiek pracował ciągle, bez ustanku. Organizm ludzki wymaga za wszelką cenę pewnego odpoczynku, swobody. Robotnik fabryczny lub robotnica wiedzą, iż po ukończeniu pracy, która trwa przez oznaczony przeciąg czasu, mogą wyjść, zabawić się, odpocząć. Czas pracy jest jako tako uregulowany. Tak nie jest u służących. One nie mają nigdy oznaczonego czasu wolnego. Regulamin pisze: „Nie wolno mu (służącemu lub służącej) bez pozwolenia służbodawcy we własnych sprawach oddalać się z domu ani bawić nad czas pozwolony“. Co więcej... „przeciw zakazowi służbodawcy nie wolno przyjmować słudze odwiedzin wogóle lub od pewnych osób.“

Służąca jest więc zupełnie a zupełnie sprzedaną w niewolę. Takiej niewoli nie zna najgorzej płatny najmita. Wdziera się ona w stosunki służącej z ludźmi, czyni ją sprzętem domowym, którego bez pozwolenia właściciela ruszyć nie wolno. Regulamin bardzo konsekwentny. Wyszedłszy z założenia, iż służąca „przez wstąpienie do służby, staje się członkiem koła domowego“, reguluje w dalszym ciągu cały stosunek służby do chlebodawców „patryarchalnie“. Każe służącej „przy każdej sposobności mieć staranie o dobro służbodawcy, według sił swoich chronić go przed uszczerbkiem i szkodą“ i t. d. Dalszy ciąg również zrozumiały. Jeżeli służąca jest członkiem rodziny, to głowa tejże może i powinna dbać o to, z kim żyje służąca, a więc może jej również zakazać tego lub owego człowieka przyjmować. Głowa rodziny dba również o „moralność“ podległych. A przecież strojenie się oznacza próżność. Regulamin przewiduje, iż mogą się znaleść „próżne“ służące (niema ludzi bez wad) a więc przepisuje, iż „sługa powinien unikać wszelkich stosunkom swoim nieodpowiednich wydatków na ubiór, rozrywki i t. p. rzeczy, a służbodawca ma prawo zakazać podobnych wydatków“. Koroną tego patryarchalnego stosunku jest to, iż „służbodawca ma prawo w razie, jeśli usilne napomnienia, nagana lub inne łagodniejsze środki karcenia nie skutkują, użyć surowszych środków karności domowej... byle tylko służący nie został na ciele uszkodzonym“. (§ 17). Bardzo logiczne. Służąca dzieckiem w rodzinie. W oficyalnej

pedagogice recepta: Różeczką dziateczki duch święty bić radzi, a więc, „jeśli usilne napomnienia nie skutkują, nagana lub inne łagodniejsze środki karcenia nie skutkują“ **kij**, policzkowanie i t. d.

Kto przyglądał się kiedy rozprawom w sądzie powiatowym, gdzie sądzone są t. z. w stylu „prawniczym“ pyskówki, ten wie, iż ten § 17 regulaminu bardzo często jest stosowany przez chlebodawczynie.

To jest prawne położenie tej olbrzymiej rzeszy ludzi. Morze bezprawia, urągającego wprost pojęciom naszym o prawie, o wolności, o godności ludzkiej. Dodajmy, iż służąca pobiera na prowincyi od 6—10 K. miesięcznie, a w Krakowie i Lwowie 10—20 (najwięcej) a będziemy mieli drugą stronę medalu.

Służąca ludzi ubogich otrzymuje chociaż pożywienie to samo co chlebodawcy. Inaczej jest u ludzi zamożnych. Tam „pańskość“ nakazuje dawać służbie to, co odpadnie od stołu, co zostanie na półmiskach: pożywienie wystygłe, okruchy. By obraz niebył pozbawiony ram, wspomnijmy jeszcze o umizgach „paniczów“ (często w liczbie mnogiej), pana i t. d. Chyba do wyjątków nie należy, iż chlebodawca gniewa się na służącą, iż szuka adoratorów za bramą domu, mając jego, pana, pod nosem... Patryarchalne stosunki, nieprawdaż...?

Stosunki te razem wzięte robią ze służącej stworzenie spętane, nie mogące się ruszyć, rzucone na łup kaprysów pań, umizgów i pożądań panów, pozbawione chwili wytchnienia.

Na takiem tle wykwita kłótliwość sług, zapalczywość, popędliwość, powodująca ciągłe scysye i utarczki z chlebodawczyniami.

Nędzne nadzwyczaj stosunki materyalne połączone z chęcią ubierania się, będącą jedyną przyjemnością życiową służących, pchają je w ramiona tajnej prostytucyi, która najwięcej adeptek znajduje między służącemi.

Patryarchalność, stosunki rodzinne zostały więc w regulaminie. W życiu nędza, wyzysk, brak zupełnej swobody z jednej strony, kaprysy, tyrania z drugiej.

W stosunkach takich panuje ciągłe naprężenie między służącą a panią. Służąca widzi zawsze w „pani“ (czasami, należy to przyznać, niesłusznie) swoją dręczycielkę. Podczas gdy robotnik widzący w „pracodawcy“ również wroga, nie styka się z nim ciągle i nie widzi tak namacalnie tej tyranii, służąca znajduje się ciągle w pobliżu swej pani.

Podczas gdy robotnicy mają organizacye, które dla nich są obroną i ochroną, służące bardziej jeszcze tej obrony potrzebujące, żadnej organizacyi stworzyć nie zdołały.

Takie stosunki umożliwiają wypadki podobne do tego, który za miesiąc znajdzie epilog przed przysięgłymi w Krakowie. Walka przeciw tym służącym,

zorganizowanie służących, polepszenie ich doli, danie im strawy umysłowej, zapobieże złemu. Oto nowe pole dla działalności stowarzyszeń w rodzaju krakowskiego Związku kobiet. *Karol Radek.*

KOBIETA WSPÓŁCZESNA.

Dużo mówi się u nas o kobietach, dużo o kobietach współczesnych. Temat rozmów w salonach, temat dyskusyi między młodzieżą akademicką: od czasu gdy kobiety wkroczywszy na uniwersytet, grożą konkurencyą w przyszłości. Niema powieściopisarza, któryby nie zgrzeszył powieścią mniej lub więcej banalną poświęconą psychologii „Jednej", niema „wielkości", którаby niezechciała uwiecznić się aforyzmem o kobietach — mniej lub więcej karmelkowym, niema nareszcie dziennikarza, któryby nie napisał uwag o kobiecie — ot takich marginesowych, są nakoniec nawet biskupi piszący — „nie tędy (a tamtędy) droga szanowne panie". — A mimo to, jak mało czyta się u nas dzieł poświęconych badaniu kwestyi kobiecej. Jak mało jest wogóle ludzi u nas cokolwiek o niej wiedzących, jak mało dzieł, z których by się czego o niej dowiedzieć było można.

Toteż każdą nową polską książkę o kwestyi kobiecej traktującą, bierze się z radością do rąk — choćby była przez „Bluszcz" wydaną. A właśnie wyszła spora 364 str. licząca książka poświęcona „Kobiecie współczesnej". Jestto praca zbiorowa kilkunastu osób, piór męskich i kobiecych. Prace takie zbiorowe bywają zazwyczaj podejmowane wtedy, gdy zachodzi obawa że jednostka nie podołałaby ogromowi zadania, lub gdy istnieje przypuszczenie, iż jednostka przedstawi rzecz jednostronnie. Książka, którą omówić pragnę, na zbiorowej pracy nic nie zyskała. Nie jest bowiem ani gruntowną, ani też nie daje wszechstronnego obrazu dążeń, walk i położenia współczesnej kobiety. Obok artykułów przedstawiających choćby w zarysie rzecz, cała masa drobiazgów, notatek nadających się do kroniki rozmaitych pism fachowych, a nie do książki, poświęconej kwestyi kobiecej, obok poglądów kobiety współczesnej, znajdujemy moc poglądów trącących „myszką" lub prababkami, obok poczucia godności kobiecej, faryzeuszowskie fidrygałki i komplementy kobietom przez mężczyzn mówione.

Słowem myśli i stanowiska rozmaite, sprzeczne, a jednak w miłej zgodzie. Całość zaś nie daje nawet pojęcia o prądach nurtujących współczesny świat kobiecy — mimo zamieszania w książce panującego.

Po krótkim wstępie p. Bolesława Prusa, któremu poświęcimy końcowe uwagi naszego artykułu, omawia pani J. M. rolę społeczną kobiety. Pani J. M. zabiera w książce tej kilkakrotnie głos. Czyni to zawsze nadzwyczaj

trafnie. Jej artykuły należą obok artykułów p. Karłowicza i p. A. Szycówney do najlepszych. Nawskróś obywatelskie poglądy p J. M. pozwalają jej patrzeć na kwestyę kobiecą nie z ciasnego podwórka feminizmu, lecz z szerokiego stanowiska interesów całej ludzkosci, jej rozwoju. Podawszy genezę współczesnego ruchu kobiecego mówi p. J. M.:

„W pierwszym rzędzie zrozumieć one muszą, że nie może skutecznie społeczeństwu służyć ten, kto go nie zna. Obowiązkiem więc jest naszym sumiennie i gruntownie poznać swoje społeczeństwo, jego stan obecny, jego wady i braki, jego choroby i grożące mu niebezpieczeństwa. Raz na zawsze powinniśmy zerwać z przesądem, że o cnocie naszej stanowi nieświadomość, że nie wiedzieć o złem i nie chcieć o nim wiedzieć — jest samo przez się zasługą. Jest to przekonanie z gruntu błędne o ile dotyczy kobiety dojrzałej. Taka na nieświadomości oparta cnota jest nieużyteczna, a w bilansie społecznych aktywów i pasywów wcale nie wchodzi w rachubę. Nie możemy ani zwalczać złego, ani siebie lub swych bliźnich przed nim chronić, jeśli go nie widzimy. Taka cnota jest, jak gra w ślepą babkę na przełęczy górskiej, można albo samemu kark skręcić, albo kogoś drugiego w przepaść wtrącić, a wtedy bardzo lichą stanowić będzie pociechę wymówka, że się to stało „nieumyślnie“. Zresztą jest to cnota faryzejska i egoistyczna, osuszanie własnej łączki, a zalewanie cudzego ogrodu, jazda na gumach, które błotem obrzucają przechodniów. Cóż z tego, że zachowamy niepokalaną świeżość naszej toalety, kiedy tłum uliczny obryzgany zostanie. Rozmaite zjawiska społeczne zresztą tak się między sobą łączą i splatają, że nigdy nie możemy być pewne, czy jakieś życiowe okropności i zawikłania, od których my odwracamy się ze wstrętem, nie pozostają w związku z naszem życiem, albo w ten sposób, że się na nas pomszczą, albo też, że my się bezwiednie do ich wywołania przyczynimy“. Wskazawszy w dalszym ciągu na obowiązki kobiet, kończy p. J. M. swój artykuł gorącem wezwaniem: „To wszystko jest przygotowaniem naszem do odegrania społecznej roli naszej. Ta zaś powinna być nie bierną lecz czynną. Nie ręce nasze tylko, lecz serca nasze i głowy oddać powinniśmy na usługi ogółu; nie ślepo i bezmyślnie iść po wydeptanych przez drugich śladach, lecz szukać własnej drogi i w razie potrzeby nową torować nam trzeba. Nie czekać aż nas kto do roboty weźmie, pokaże i pouczy, co i jak i kiedy robić, lecz samej odważnie i samodzielnie podejmować inicyatywę, działać i do działania podniecać, oto rola społeczna współczesnej kobiety“. Z innych artykułów p. J. M. wynika (a na tem już miejscu wspomnieć to należy), iż p. J. M. nie łudzi się wcale, by takiej pracy społecznej jęły się wszystkie kobiety współczesne. To byłoby utopią, a w każdym razie niebywałym, wprost cielęcym (proszę wybaczyć wyrażenie) optymizmem. Kobiety należące do klas najbardziej uprzywilejowanych do żadnej wogóle pracy społecznej są niezdolne (tańczenie na balu dla biednych

chyba pracą społeczną nie jest), nie pcha ich ku temu bowiem pozycya życiowa, a nawet je od tego wstrzymuje.

A takim optymizmem odznaczają się artykuły p. *Cecyli Zyberk Plater* („Obyczaj obyczajem poprawiać“ str. 11—15 i „Gospodarstwo wiejskie jako czynnik cywilizacyjny“), w których autorka mówi o misyi społecznej właścicielek wsi. A wieś sama jest dla pani Platerowej czemś świętem, ciągnienie z niej zysków niemal pracą narodową.

„Wieś jest jednak czemś więcej nad warsztat zarobku, mówi p. Pl., nad kapitał obrotowy (dziwna sciencya w zakresie ekonomii!!), jest czemś więcej nad miłą siedzibę rodzinną. Wieś jest to szmat ziemi ojczystej, jest to cząstka ojczystego mienia, której gospodarka została właścicielowi zlecona, aby jego ręka ją strzegła, uprawiała i w pocie czoła zeń wydobywała te skarby, jakie stwórca w niej zawarł, a której właściciel jest raczej włodarzem odpowiedzialnym niż posiadaczem“. Ta dziwna ideologia robiąca z obszarnika jakiegoś włodarza odpowiedzialnego przed Bogiem i t. d. każe p. Cecylii Plater objawiać bombastycznie życzenia w formie następujących jeremiad skierowanych do żon obszarników: „O! Gdyby kobieta wiedziała, jak osobliwie doniosłem jest jej posłannictwo na wsi i t. d.... zrozumiałaby, że ona to powinna być tym dobroczynnym promieniem słońca, który wszystko przenika“ i t. d. oszczędzę czytelnikom w dalszym ciągu ckliwo nudnych deklamacyi, będących nienaturalnem bałamuceniem siebie i drugich (o ile są równie naiwni,) powstałem wskutek rozanielenia wywołanego lekturą Gawalewiczów i innych Glińskich „Gdyby wiedziała — toby zrozumiała“.... Hic Rhodus, hic salta.... P. Plater nie wie zapewne nic o t. zw. klasach społecznych (gdyby wiedziała — toby może zrozumiała). ...

Otóż dlaczego pani właścicielka wsi, żyjąca zdala od ludu, z urodzenia skazana na to, iż położenia jego nie zrozumie, ma stawać się promieniem jasnym, który wdziera się do... brudnych i cuchnących chat... Dlaczego? Niepoddaję w wątpliwość szczerość i uczuć p. Platerowej, ale niestety, one w życie wejść nie mogą.

A jak dalece mało ona ma z „współczesnością“ do czynienia, dowodem następujące próbki:

„Ważną jest rzeczą zachęcać wszelkimi sposobami lud wiejski do zachowania *zacnego*wiejskiego obyczaju *i pięknego* ustroju“.

„Czyn zaś szalony, wysoce antyspołeczny popełniają ci wszyscy, którzy rozszerzając oświatę między ludem, czynią to bez Boga, bo gdy ludową oświatę nie opieramy na silnych podwalinach religii, budujemy bez fundamentu gmach niebezpieczny, a gdy dopuszczamy, aby *niecni agitatorowie porządku społecznego* (co za mistyczno groźnie niegramatyczny styl!) stępili wiarę w ludzie, barbarzyńcami doprawdy jesteśmy! bo gdy lud wiarę utraci, co mu w zamian damy?.. co mu dać możemy?

Ci szerzyciele oświaty bez Boga, toż najwięksi wrogowie ludu: rozbudzają w nim pragnienia, potrzeby, których zaspokoić nie zdołają... odbierają ludowi niebo, a nie dają mu ziemi! (no! no!) obiecują wiele, a nic nie dotrzymują".

Na poziomie umysłowym p. Cecylii Zyberk Plater stoi również p. *H. Wierciński,* który w artykule „Przemysł drobny w guberniach królestwa Polskiego" (niewiadomo skąd się ten artykuł tu wziął!) wypowiada wbrew wszelakim danym zdanie: „warstwy ludności, którym to powiększenie dochodów obojętnem nie jest, winny też szczególną na tę gałąź pracy zwrócić uwagę i w miarę sił i zdolności korzystać z otwierającego się pola do pracy". Badania nad położeniem robotnic zatrudnionych w przemyśle domowym wykazały, że przemysł ten jest jedną z najbardziej wyrafinowanych, najbardziej ohydnych form wyzysku, lecz cóż to p. Wiercińskiego obchodzi. W Europie zachodniej wre zacięta walka przeciw temu przemysłowi, p. Wierciński twierdzi jednak, że przemysł ten „pozwala na zarobek w domu, nie zmuszając do opuszczenia ogniska domowego".... P. Wierciński jest ekonomistą „Bluszczu"... to rzecz wyjaśnia....

I tak przez całą książkę. Jeden współpracownik patrzy na świat ze stanowiska wiedzy współczesnej, drugi z za płotu lat 50-tych. Niema jak wielostronność! Znaczna część książki poświęcona jest sprawie wychowania. Nic dziwnego, sprawa ta należy do najważniejszych, wchodzących w skład tzw. kwestyi kobiecej: O sprawie tej mamy 5 artykułów; 4 pióra znanego zaszczytnie p. St. Karłowicza i p. Anieli Szycównej, oraz wspominanej tylokrotnie przezemnie p. J. M. oświetlają wyśmienicie niektóre zagadnienia z zakresu obszernej a zawsze aktualnej sprawy wychowania. Pan Karłowicz i p. A. Szyc mówią o jednej i tej samej sprawie: Znaczeniu kobiety jako wychowawczyni, w czem się nieco różnią. Podczas gdy p. Karłowicz widzi w kobiecie specyalne uzdolnienie do spełniania funkcyi wychowawczych, które powinno być poparte szeroką wiedzą, p. A. Szyc zwraca uwagę na to, „iż nie należałoby w imię jakiego z góry powziętego poglądu zmuszać do niej (pracy pedagogicznej) wszystkich kobiet bez wyjątku." Artykuł p. Szyc zawierający masę bardzo ciekawego i pięknie zestawionego materyału o udziale kobiety w pracy pedagogicznej wśród wieków, dochodzi do następujących rezultatów:

1) „Pobieżny nasz przegląd działalności pedagogicznej kobiet wskazuje przedewszystkiem, że nie było żadnej pracy wychowawczej, w którejby kobieta nie dorównała mężczyźnie, o ile miała sposobność otrzymać równe przygotowanie fachowe. Wobec tego dziwnie odbija taki fakt, że praca nauczycielek czy to domowych czy szkolnych jest wszędzie, nie wyłączając postępowej Ameryki, niżej wynagradzana, niż praca mężczyzn na podobnych posadach."

2) „Inną myślą, która się z naszego przeglądu nasuwa, jest, że kobiety wogóle, a szczególnie Polki pomimo całego zapału dla sprawy wychowania nie uczyniły tyle, ile się można było spodziewać po ich zdolnościach. Poznaliśmy tego przyczyny. Kobietom pełnym inicyatywy, brakowało często wykształcenia teoretycznego, czasem i możności do jego zdobycia, albo też wytrwałości i cierpliwości potrzebnej w pracy naukowej."

Sprawie bon cudzoziemek, jeszcze ciągle w Królestwie aktualnej, oraz poszanowaniu wieku dziecięcego poświęca głębokie uwagi p. J. M. Działalność kobiety w literaturze, malarstwie i muzyce bilansuje śp. prof. Chmielowski, p. Walerya Marené Morzkowska i Mieczysław Karłowicz. Artykuły te pobieżne, są niejako katalogiem nazwisk. Mimo to wyciąga prof. Chmielowski i p. Morzkowska pewne wnioski o udziale kobiet w twórczości literackiej i malarskiej. Prof. Chmielowski pisze:

„Już w roku 1823 uskarżał się pewien Niemiec, iż pisma kobiece, jak powódź zalewają literaturę. Później niejednokrotnie i z rożnych stanowisk wygłaszano bardzo nieprzychylne opinie o twórczości literackiej kobiet. Nie tylko zaznaczono z naciskiem, że nie było dotychczas ani jednego istotnego geniuszu kobiecego, ale dowodzono, że niewiasty wogóle nie okazały nigdzie rzetelnej oryginalności, lecz że zawsze tylko wstępowały na drogi już przez mężczyzn utorowane, przyswajały sobie ich pomysły i rozwidniały je tylko pod pokrywką subtelniejszego cieniowania. Nie dość na tem. Oskarżono jeszcze kobiety, iż one pracę literacką gotowe zawsze obniżyć do znaczenia rzemiosła, i że tym sposobem one głównie przyczyniły się do obniżenia poziomu pracy artystycznej, a wprowadzając do swych mianowicie powieści: płytkość, powierzchowność, drobiazgowość obserwacyi, wytworzyły ten przeciętny filisterski smak, który tak razi duszę artystyczną i przejmuje ją obrzydzeniem, słuszność zmusza wyznać, że w zarzutach powyższych dużo prawdy, ale równocześnie należy zaznaczyć, że wady w nich wytknięte nie tyle tkwią w samej istocie umysłu kobiecego, ile w dotychczasowem ich ukształceniu."

Pani Morzkowska wyznaje, że kobiety „nie wniosły do malarstwa żadnego nowego pierwiastku," że „ogólnie biorąc nie mogą się mierzyć z pierwszorzędnemi siłami męzkiemi, ale nie wyróżniają się ujemnie od przeciętnych kolegów malarzy". Jako powód tej przeciętności podaje autorka tę okoliczność, iż „aby zakląć swą duszę w obrazie, trzeba odrzucić wszelkie szablony i szkolarskie formuły. Ale żeby to uczynić, potrzeba wielkiej niepodległości ducha, a tę rzadko bardzo posiąść może kobieta, którą dziedziczność, wychowanie, obyczaj, zależne położenie wtłaczają właśnie w te szablony i formy".

P. M. Karłowicz nie wyciąga żadnych wniosków co do udziału kobiet

w twórczości muzycznej, gdyż wyliczenie kilkuset nazwisk na 6 stronach nie uprawnia go do żadnych wniosków...

Cały szereg artykułów ma oświetlić stanowisko kobiet w Niemczech, Szwajcaryi, Danii, Francyi, Poznańskiem i w Anglii. Mówię ma oświetlić. Żaden z tych artykułów tego nie robi. Są one bowiem wymienieniem kilkunastu stowarzyszeń i opisem ich działalności. Gdyby kto z tych 86 stron temu przedmiotowi poświęconych chciał wynieść rzeczywiście jaki jasny obraz, byłby w kłopocie. Zdaje się bowiem, że autorki tego obrazu same w umyśle nie miały. Wszędzie razi brak uwidocznienia rozmaitości, kierunków panujących wśród kobiet, stanowiska partyj politycznych wobec żądań kobiecych, rozbieżności pomiędzy ruchem robotnic stojących na stanowisku społecznej demokracyi, a t. zw. ruchem burżuazyjnym kobiecym.

Z całej powodzi banalnych artykułów społecznych, grzęznących w stosunku do robotnic w płytkiej filantropii, wybija się tylko świeży głos p. J. M. (Opieka nad kobietami poszukującemi pracy). „Nie filantropia i protekcya możnych, lecz samopomoc i organizacya zawodowa stanowią dla nich punkt wyjścia. Że ta droga dla danego celu jest najodpowiedniejszą, o tem świadczyć się zdaje beznadziejna niemoc filantropii tam wszędzie, gdzie o zażegnanie jakiejś szerszej klęski i lub wykorzenienie jakiejś głębiej sięgającej choroby społecznej chodzi.“

Oprócz omówionych artykułów zawiera książka jeszcze rozmaite o hafciarstwie, sadach i slöjdach, głównych zasadach zachowania zdrowia i innych pięknych rzeczach, które niewiadomo skąd i dlaczego w książce tej się znalazły.

* * *

A teraz słów kilka o wstępie p. Bolesława Prusa.

P. Bolesław Prus napisał niegdyś powieść o Emancypantkach.

P. Bolesław Prus gniewał się niegdyś na Lalki.

Redakcya „Bluszczu“ (znana nazwa dla pisma kobiecego dającego „artykuły o wychowaniu, życiu rodzinnem, powieści, dramaty, poezye, przeglądy społeczne, medyczne, o ubiorach kobiecych, dziecięcych, o gospodarstwie domowem, sznyclach, pierogach, babach wielkanocnych i wszelkich innych dobrych jakoteż smakowitych rzeczach za kop. 60 miesięcznie) wydaje książkę o kobiecie „współczesnej“. Co za ironia. Redakcya Bluszczu prosi p. Prusa, by był książce chrzestnym ojcem. To ironia jeszcze większa.

P. Bolesław Prus pisze wstęp pod sentymentalnym, za serce chwytającym tytułem „Ona“.

P. Bolesław Prus pisze z namaszczeniem o Niej, że jest „na drzewie

wszechbytu tą cudowną gałązką, z której wykwita i t. d.“, pisze, jak to „pod Jej kierunkiem pełzające niemowle uczy się podnosić głowę do nieba“, w którem zamieszkują jak wiadomo wróble i aniołowie.

P. Bolesław Prus pisze ze wzruszeniem, jak to kobieta idzie „za pracownikiem w pole i do warsztatu, wspina się na szczyty gór i zstępuje do kopalń“, pisze jak to kobieta „pociesza, karmi, pieści“ i inne piękne wyprawia sztuki...

P. Bolesław Prus pisze cynicznie — brutalnie, iż współcześnie jest ona (małe o) **najcenniejszą przyprawą uczt, podnietą zabaw...**

P. Bolesław Prus mówi w umizgach galanta: „Jakaż muzyka dorówna Jej szeptom o wzajemności?.., jaka zorza Jej uśmiechowi?... jaka gwiazda blaskowi Jej spojrzeń?... A Jej pocałunki czyliż nie są tym nektarem legendowym, który upajał samych bogów?...

„Słowem, mówi ciągle ten sam p. Bolesław Prus, — ona choć „pełna zdrady i grzechu“ (P. Prus nie zapomniał p. Lalki) — jest w naszem życiu, jak ciepło, światło i powietrze, bez których nie tylko niema szczęścia, ale nawet istnienia“.

Nakoniec robi p. Prus słodko-przykrą minę i mówi:

„Dziś w czasach powszechnej emancypacyi, ostatnia ze swemi żądaniami przychodzi kobieta, *prosząc o obowiązki* obywatelskie i pracę i — (tu p. Prus wzdycha) **nieco większą odrobinę swobód**. Nie wątpimy o spełnieniu tych życzeń. Lecz pragnęlibyśmy, ażeby ze swobód wzięła tyle tylko, ile potrzeba do prawdziwego Jej szczęścia, a z pomiędzy prac tylko takie, które — nie zaszkodzą rozwojowi jej ludzkiego dostojeństwa i nie zgaszą jej **anielskich** przymiotów!“

Pan Bolesław Prus pisząc ten wstęp do książki p. t. kobieta współczesna był niezwykle ironiczny...

* * *

Idzie szeroka fala życia. Porywa z sobą kobiety. Podmywa filary szczęścia domowego: dobrobyt i gna kobiety z warstw średnich do kantorów, do szkół, na uniwersytety. Idą zastępy całe młodych kobiet w życie, lecz nie by „towarzyszyć pracownikowi“ jako „ochłoda, osłoda i inny piękny cukierek“, lecz by zdobywać chleb.

Tysiące kobiet „z nizin społecznych“ idzie „za pracownikiem w pole i do warsztatu, wspina się na szczyty gór, zstępuje za nim do kopalń“ i do innych miejsc, które p. Prus kropkami zaznacza. A nie czynią One tego z żadnego sentymentu kropkowanego lub kreskowanego, a jeno ponieważ je nędza naprzód po chleb żenie...

A do Niej, „która karmi, pieści“ zwraca się część mężczyzn z kułakiem, ogradza przed Nią pola, zamyka drzwi warsztatów, wrota kopalń.

A druga część mężczyzn podaje jej bratnią dłoń do walki przeciw nędzy, która szkodzi „rozwojowi wszelkiego ludzkiego dostojeństwa „i“ „gasi wszelkie przymioty“.

I drużyna ta mężczyzn i kobiet coraz bardziej wzrastająca **nie prosi**, a żąda i **domaga się** nie **odrobiny** lecz **pełni** wszelakich swobód, walczy o życie, w którem nikt nie będzie dla drugiego przyprawą uczt, ani podnietą zabaw, w którem powiedzieć będzie można, jakaż muzyka dorówna „Jej szeptom“... A z taras kawiarnianych patrzą na nich rozmaici filistrzy, mówiący o odrobinach swobód, o które prosić należy, o podnietach uczt, przyprawach i t. d.

Głosy ich cieszą się uznaniem i poklaskami wśród inteligencyi i to nie tylko męskiej.

I długo jeszcze walor mieć będą, aż życie zamieni je w przyszłości w wytartą monetę.

I długo jeszcze będzie ta już dziś wytarta miedź przygłuszała gromkie wołania o życie pełne, aby przyświadczyć prawdzie słów tego, który biczował wszelką filisteryę mówiąc:

„Da war zumal der Esel Balaams, Der überschrie die Götter und die Heil'gen“.

Karol Radek.

KRONIKA.

Kluby kobiece. Korzystając z bardzo ciekawych historycznych danych dotyczących powstania pierwszych klubów kobiecych w Ameryce i Niemczech, ogłoszonych w „Roczniku kobiecym Hillgera“, („Hillgers Frauen-Jahrbuch. „Frauenklubs“ von Dr. Eliza Ichenhaeuser) chcę czytelników w krótkości zaznajomić z istotą i celami tych klubów Kluby kobiece są to stowarzyszenia kobiet dla wspólnej rozrywki i pracy i dzielące się stosownie do rodzaju tej pracy na: kluby literackie, filantropijne, wychowawcze itp. Celem tych klubów jest zogniskowanie sił i zdolności jednostkowych, wyrobienie uczucia solidarności i rozszerzenie umysłowych widnokręgów kobiet połączonych. Idzie o to, by wyrwać całe masy kobiet z zaczarowanego a ciasnego kółka ich domowych, lub nawet fachowych zajęć, jeżeli idzie o fachowo pracujące kobiety, o rozerwanie oków bezwładności duchowej, jakie nakłada monotonna praca koło domu, w biurze, lub fabryce, zużytkowanie pozostającego czasu na pożyteczną dla całego społeczeństwa pracę i na konieczną, lecz, nie bezmyślną rozrywkę. Stosownie do tych celów układa się program działalności kobiecych klubów: zebrania towarzyskie, odczyty i pogadanki z dyskusyami, urządzanie ankiet i wywiadów, wreszcie zabawy wspólne, wycieczki, zwiedzanie muzeów.

Kluby kobiece urodziły się w Ameryce. Za pierwszy klub, mający już te same zasadnicze podstawy, co kluby dzisiejsze należy uważać klub „Sorosis“, założony w Nowym Jorku w 1868 r., chociaż wiadomo, że już dawniej istniały w Ameryce kluby podobne: nprz. założony między 1830 i 1840 r. klub w Miczyganie, lub w 1859 r. klub w stanie Indyany. Jako wzór późniejszych klubów służył jednak klub

„Sorosis“ i dlatego na nim nieco dłużej się zatrzymano. Pierwszą pracą społeczną klubu tego było zebranie danych co do sprawy podrzutków oraz domów dla nich. Dane były opublikowane i tak wpłynęły na opinię ogółu, że wkrótce po tym założono w Nowym Jorku dwa domy dla podrzutków „Sorosis“ był podzielony na kilka oddziałów, komisyi, z których każda inną stronę działalności socyalnej miała powierzoną. Były komisye: filantropijna, pedagogiczna, literacka, gospodarstwa domowego itd. Z dalszych prac klubu „Sorosis“ należy wymienić urządzenie ankiety co do położenia sklepowych w Nowym Jorku oraz zebranie danych o dopuszczeniu kobiet do studyów uniwersyteckich w różnych krajach i podanie petycyi do rządu o dopuszczenie kobiet do uniwersytetu w Nowym Jorku i do Columbia-College. Na wzór klubu „Sorosis“ założono wkrótce kluby w Bostonie, Filadelfii i Chicago, a w 1889 roku zebrało się tak dużo klubów w poszczególnych Stanach Ameryki, że uznały one za potrzebne połączyć się w „Związek amerykańskich klubów kobiecych“, liczący dziś 240 klubów z ogólną liczbą członków 800 tysięcy!

Jako szczególnie pożyteczną odmianę klubów kobiecych należy uważać kluby robotnic. Są to stowarzyszenia mające te same cele, co kluby kobiet z klas wyższych, lecz urządzające popularniejsze odczyty i pogadanki, a nawet systematyczne kursa z różnych dziedzin. Według mego zdania, jedno tylko zarzucić można tym klubom a mianowicie to, że rządzą niemi w rzeczywistości nie same robotnice, a „inteligentki“. Oczywista rzecz, że jest to wada, wypływająca w większości wypadków z nieumiejętności i braku czasu robotnic: z czasem nabiorą i one wprawy i zdolności do rządzenia u siebie bez pomocy z góry. Że często i osobiste ambicyjki i intrygi grają w tych klubach rolę, nie trzeba powtarzać temu, kto choć raz wejrzał w zakulisowe życie jakiegokolwiek stowarzyszenia. Ale te wady nikną wobec rzeczywistej korzyści, jaką przynoszą kluby robotnic. Pierwsze z nich powstały też w Ameryce a później ogromnie się rozwinęły w Anglii i Niemczech.

Systematyczne wykłady, odczyty z dyskusyami, wycieczki wspólne w okolice i do muzeów, wreszcie zabawy, urządzane w lokalu klubowym, biblioteka z czytelnią — wszystko to ogromnie rozwija poczucie jedności wśród kobiet pracujących, pozwala im choć na chwilę po ciężkiej pracy wybiedz nieco dalej po za domowe kłopoty lub mury fabryczne.

Wiele z tych klubów zajęło się i sprawą pożywienia swych członkiń i urządziło własne tanie jadłodajnie, a inne znów zajęły się urządzaniem noclegów dla samotnych robotnic, strzegąc je w ten sposób od wielu przykrości i niebezpieczeństw.

„Związek Kobiet“ zorganizowany tej wiosny staraniem kobiet grupujących się koło redakcyi Nowego Słowa w Krakowie, — ma teżsame zadania co większość klubów kobiecych ze szczególnem uwzględnieniem kobiet pracujących zawodowo. Ma on stać się dla nich ogniskiem skupiającem je dla celów kształcenia, rozrywki i wzajemnej pomocy.

Jeszcze o kongresie kobiecym w Berlinie. Muszę powiedzieć słów kilka i niestety, kilka przykrych słów. W naszych pismach, które o kongresie powyższym wspominały sprawy tej nie poruszono wcale — nie przypuszczam żeby przez chęć zamaskowania, ukrycia, niedobrze świadczącego o dojrzałości delegatek kongresu, zdarzenia. Jestem zdania, że tylko drogą sprawiedliwego sądu można iść w każdej sprawie, w którą się głęboko wierzy i dlatego poruszam tu tę kwestyę, poddając ją pod sąd czytelników i czytelniczek „Nowego Słowa“. Mam na myśli wizytę większości delegatek berlińskiego kongresu u Bülowa i Posadowskiego. Cóż w tym tak złego? To akt zwykłej towarzyskiej grzeczności. W ten sposób tłomaczyły się uczestniczki tej smutnej komedyi, napadane przez inne delegowane, i w ten sposób patrzy na to większa może część społeczeństwa. Inaczej rzecz się jednak przedstawi, gdy opowiem, jakie okoliczności poprzedziły tę wizytę. W Niemczech istnieją t. zw. „sądy handlowe“, czyli instytucye na zasadzie wybieralności oparte, które mają za cel rozstrzyganie kwestyj spornych, zatargów pomiędzy pracodawcami a robotnicami i pracownikami w handlu i przemyśle. W Austryi npr. gdzie również podobne instytucye

istnieją, kobiety mają w nich prawo wyborcze aktywne, czyli, że mogą głosować przy wyborach na członków tych sądów. Kobiety niemieckie chciały również to prawo zdobyć sobie i tego rodzaju projekt wniosła do parlamentu odpowiednia komisya. Rząd, a więc przedewszystkiem kanclerz Bülow i hr. Posadowski, stanowczo projekt odrzucił przy pierwszem czytaniu w parlamencie. Działo się to właśnie wtedy, gdy w tymże Berlinie kobiety z całej kuli ziemskiej obradowały nad sposobami walki o swe prawa moralne i polityczne. Dwaj mężowie stanu, Bülow i Posadowski w swej bezgranicznej dobrotliwości raczyli w tym samym czasie zaprosić wybitniejsze przedstawicielki kongresu kobiecego... na proszoną herbatkę! Człowiek o dobrym sercu, kopnąwszy psa, po chwili głaszcze go na pocieszenie.

Wielka liczba uczestniczek kongresu stawiła się na zaproszenie tak zaszczytne, pospacerowała po ładnych ogrodach p. Bülowa i wypiła herbatkę u Posadowskiego, silnie słodząc ją, by nie było czuć goryczy. Co da się przytoczyć na usprawiedliwienie? Na zebraniu kobiecym w Wiedniu, na którym uczestniczki kongresu zdawały publiczną o nim relacyę, jedna z nich, p. Gerber, która też była na herbatce, tłomaczyła się tem, że p. Bülow ma „ładne bardzo ogrody, które ona chciała poznać“! Proszę mi wierzyć, byłem osobiście na tym zebraniu. Inne tłomaczyły się tem, że nie wiedziały zupełnie o sprawie sądów handlowych, że wśród zajęć kongresowych nie mogły nawet dzienników czytać! To już trochę lepsze tłomaczenie, ale też niewystarczające. Moim zdaniem, stało się wielkie głupstwo, że się tak wyrażę, ale nie można znów winić za to całego kongresu, wszystkich nawet tych, co były u Bülowa. Przedewszystkiem wina spada na kobiety miejscowe, berlińskie: cudzoziemki rzeczywiście mogły nie wiedzieć o sprawie sądów handlowych i uważać swą wizytę za akt grzeczności względem państwa, które gościło je w swej stolicy. Było obowiązkiem kobiet niemieckich nie przeoczyć tak ważnej kwestyi w parlamencie i ostrzec towarzyszki-cudzoziemki. Z drugiej zaś strony należy wziąć pod uwagę, że kongres berliński nie był kongresem jakiejś jednolitej organizacyi, lecz że na nim były reprezentowane różne żywioły, różne klasy i światopoglądy polityczne. Było tam dużo kobiet, które za najwyższe szczęście i cześć uważać mogły znalezienie się w salonach, lub choćby ogrodach dygnitarzy państwa, a temu nie winien cały kongres. Winą kongresu jest bezwarunkowo to, że nie podniósł on, chociaż po fakcie silnego, stanowczego protestu, tylko bardzo słabiutki głos niezadowolenia.

Nauczycielki w Warszawie na pensyach nie mają słodkiego życia. W Warszawie istnieje około dziesięciu większych prywatnych pensyj żeńskich, nie licząc znacznej liczby mniej renomowanych. Wiem, że tego roku urządzano ankietę o położeniu nauczycielek i klasowych dam na tych pensyach, ale dotychczas nie wiem, czy opracowano już zebrany materyał i czy go gdziekolwiek opublikują. Moje wiadomości pochodzą ze źródeł prywatnych, lecz pewnych. Ogólnie rzec można, że nauczycielki i damy klasowe (co łączy się zwykle w jednych i tychsamych osobach) są przeciążone denerwującą pracą. Nauczycielka, spełniająca zarazem obowiązki damy klasowej i jako opiekunka stale mieszkająca na pensyi ma przeciętnie, prócz utrzymania, około 300—400 rubli (380—500 złr.) pensyi. Trzeba wstawać o 7-mej rano w lecie i w zimie, doglądać ubierania się, mycia dzieci, pójść z niemi na spacer, asystować na lekcyach profesorów (!) i samej odbyć kilka godzin wykładów. Cały dzień jest szczelnie zapełniony. Jako dobrą stronę tego stanowiska trzeba zaznaczyć coroczne wakacye, trwające dwa miesiące, oraz parotygodniowe święta na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Niestety jednak, bardzo mało nauczycielek jest w stanie wyjechać na lato na wieś dla zupełnego odpoczynku. *S. K.*

Wstręt do małżeństwa. Hugo Münsterberg prof. uniwersytetu w Harward w Ameryce wydał dzieło „American traits from the point of view of a German“, w którym rozpatruje przyczyny, dla których coraz częstszem staje się zjawisko, iż w Ameryce kobieta zdobywszy niezależne stanowisko, nie chce wyjść za mąż. Prof. Münsterberg przypisuje to wysokiemu rozwojowi umysłowemu, jakie osiągają kobiety amerykańskie, a który je czyni wybrednemi w wyborze małżonków. Dla zapobieżenia

temu radby prof. Münsterberg położyć tamę nabywaniu wiedzy przez kobietę. P. profesor nie zaszedł zapewne zbyt daleko w swoim rozwoju umysłowym....

Koszta kongresu kobiecego w Berlinie wynoszą, jak podaje „Die Zeit" przeszło 37 tysięcy marek. Są one w znacznej części pokryte dochodami, jakie przyniosły bilety wstępu na kongres.

J. BAUDOUIN DE COURTENAY.

CZY WINNI SĄ PANOWIE SĘDZIOWIE PRZYSIĘGLI TEGO, ŻE....?*)

I.

Przygnębiające a zarazem wstrząsające wrażenie robi niewyszukane opowiadanie „Nierozumna zemsta", wydrukowane niedawno w „Birżewych Wiedomostiach" (Nr. 494—507). A wywiera ono takie wrażenie swą bezwzględną prawdziwością i wiernem oddaniem głównych psychicznych faktów. Zresztą, jak zwykle w podobnych wypadkach, autor, nie chcąc ograniczać się do roli sprawozdawcy, kopiującego życie z dokładnością fotograficzną, skorzystał tylko z rzeczywistego zdarzenia i nie krępował siebie w wymyślaniu najrozmaitszych szczegółów i szczególików, w których świetle tem wypuklej uwydatnia się treść psychiczna opowiadania-tragedyi.

Jeżeli się nie mylę, w rzeczywistości zdarzyło się to lat 12—15 temu. Krzywdziciel, który życiem przypłacił krzywdę, wyrządzoną małżonkom-„przestępcom", mieszkał w Petersburgu, lecz sami „przestępcy" przyjechali tutaj umyślnie, dla wykonania swego okropnego zamiaru, aż z kresów południowej Rosyi, bodaj że z Krymu. On był sędzią pokoju, a więc osobistością, obeznaną dokładnie z paragrafami kodeksu, jak również ze związkiem fatalnym między „przestępstwem" a „karą", a jednak pod wpływem nie przezwyciężonej siły, t. j. pragnienia zemsty, która go opanowała i owładnęła bez żadnych ograniczeń, postanowił spełnić „tak okrutną zbrodnię". Ona zaś będąc zupełnie pod władzą męża „mściciela" i ulegając jego sugestji, działała z nim wspólnie i automatycznie spełniała wszystkie jego żądania, skierowane ku dopięciu tego jedynego wówczas dla niego „celu życia". Zaciągnęli oni gdzieś w sposób podstępny swoją „ofiarę", czy też po prostu wtargnęli do jej mieszkania (dokładnie nie pamiętam) i załatwiwszy się z nią w okrutny sposób, wrócili do domu. „Zbrodnia", naturalnie, natychmiast wy-

*) Przekład z rosyjskiego. Oryginał wydrukowano w gazecie petersburgskiej „Birżewyja Wiedomosti" (Nowiny giełdowe) 1903 Nr. 539.

szła na jaw, „przestępcy“ zostali wkrótce odkryci, aresztowani i tak dalej, według przepisów.

O ile sobie przypominam, na rozprawie przysięgli przyjęli okoliczności łagodzące, tak że w rzeczywistości „kara“ była daleko lżejszą od tej, o jakiej mowa w opowiadaniu „Nierozumna zemsta“.

Ale mnie nic nie obchodzi rzeczywistość; ja trzymam się wyłącznie szczegółów opowiadania, a więc mam na widoku jedynie tylko wspominanych przez autora przysięgłych i rozprawę sądową, przezeń opisaną. Dlatego niech nie mają do mnie pretensji ci z biorących udział w tej sprawie rzeczywistych przysięgłych, którzy dotychczas pozostali przy życiu. Ja przesłuchuję i pociągam do odpowiedzialności sędziów przysięgłych wyżej wspomnianego opowiadania, a ci panowie zasądzili „przestępców“ bez pobłażliwości, sędziowie zaś koronni z automatyczną ścisłością, trzymając się „li tylko litery prawa“, zastosowali do nich „najwyższy wymiar kary“.

Ale czy panowie przysięgli mieli moralne prawo traktować dane im do zbadania objekty jako osoby poczytalne i odpowiedzialne za swe postępki?

II.

Zacznijmy od „niego“, t. j. od głównego „przestępcy“, który własnoręcznie zarzynał i zarznął, i postarajmy się rozejrzeć w pomrokach jego świata duchowego.

On przecież ożenił się z panną, a więc ożenił się ze wszystkiemi prawami i przywilejami, przywiązanemi do nazwy męża „niepokalanej dziewicy“. Wszyscy „znawcy“, wszyscy „samcy-lubieżnicy“ zapewniali go — chociaż, być może, nie w zastosowaniu do danego wypadku, ale tak sobie wogóle — i wmówili w niego, że go oczekuje „jedyna w swoim rodzaju przyjemność“, „palec obliżesz!“. On tyle razy o tem słyszał, tak długo „marzył“ o tem „szczęściu“, w pełnym rynsztunku jedynego posiadacza przygotowywał się do spotkania go w godny sposób, aż tu raptem pozbawiają go tego „szczęścia“, tej „jedynej w swoim rodzaju rozkoszy“. I do tego jeszcze pozbawiają w „sposób podstępny“, ani jednem słowem nie zająknąwszy się o możliwości podobnego „oburzającego“ rozczarowania.

Ależ my możemy podnieść się wyżej, możemy stanąć na szczudłach wymagań „moralnych“. On, jako małżonek, miał przecież prawo żądać od swojej żony czystości, prawdziwego „dziewictwa“, naturalnie, fizjologicznego. I oto zamiast „dziewicy“ podsuwają mu „kobietę poniekąd upadłą“. Samemu sobie on nawet we śnie nie stawiałby podobnych żądań. Co więcej, gdyby mu przyszło do głowy stawiać je sobie wydałby się śmiesznym w swych własnych oczach, w oczach innych mężczyzn, a bodaj nawet w oczach rodzaju

kobiecego, nie wyłączając nawet własnej jego żony. Wszakżeż tak, panowie sędziowie, panowie przysięgli?

Bądź jak bądź nasz bohater czuje się głęboko dotkniętym i skrzywdzonym w „najświętszych prawach właściciela“. Z wściekłością rzuca się na żonę i brutalnie żąda od niej całkowitego wyznania winy. Ona tłumaczy się, że, ukrywając swą przeszłość, chciała oszczędzić jego samego, że swego „upadku“, nie jest winną, ponieważ jako guwernantka, była uwiedzioną i zgwałconą przez swego chlebodawcę, a później bezlitośnie przez niego wypędzoną.

To częściowe wyznanie nie może zadowolić męża, znieważonego w swej godności inteligentnego samca. On żąda wszystkiego i powoli, to pieszczotami i prośbą, to znowu za pomocą całego szeregu moralnych i fizycznych katuszy zmusza swą żonę do dania mu dokładnego obrazu jej upadku, ze wszystkiemi poniżającemi jej godność kobiecą szczegółami, a nareszcie wyrywa z niej nawet imię jej uwodziciela.

I oto poprzednie pragnienie zemsty bez określonego kierunku, ot tak sobie, gdzieś w przestrzeni, lokalizuje się: krzywdziciel znaleziony, znaleziony punkt, na który można skierować całą zgęszczoną masę nienawiści i uczucia zemsty, dotychczas rozpływającą się i miotającą się bez jasno wskazanego celu. Z całem rozjuszeniem ranionego byka rzuca się on tam, tam: sztyletem w to obmierzłe serce, ostrzem noża po tej podłej szyi!

Jest od czego stracić rozum, albo przynajmniej znaleźć się w stanie c h r o n i c z n e g o o b ł ę d u i s z a l e ń s t w a.

III.

W jego głowie cała burza rozszalałych namiętności, ciągnących go naprzód, naprzód, bez oglądania się, bez zastanawiania się. On odchodzi od zmysłów.

On mści się za żonę, za zadaną jej krzywdę, za jej „hańbę“, ale jeszcze bardziej mści się za siebie, za krwawą krzywdę, zadaną jemu, jako posiadaczowi pewnego ciała kobiecego, jako właścicielowi, ugodzonemu boleśnie w najdotkliwsze i najdroższe dla niego *jus primae noctis*.

O, jak zrozumiałem jest dla nas, panów mężczyzn, a w szczególności mężczyzn inteligentów, to rycerskie uczucie!

On pragnie tylko zemsty, zemsty, zemsty, krwawej, bezlitośnej zemsty. Dawniej pragnął krwi swej żony, teraz zaś pragnie krwi jej uwodziciela krzywdziciela. Swą palącą żądzę zemsty może on ugasić tylko we krwi „wieprza“, skazanego na zarznięcie, jako ofiara jakiemuś nieubłaganemu bogu-mścicielowi!

Jak świetnie wypadek ten potwierdza panującą w socyologii teoryę

o wspólnem źródle psychicznem uczuć erotycznych, krwiożerczych i ofiarniczych.

On chodzi jak lunatyk, niby w gorączce, a majaczy samą tylko zemstą. I, jak lunatyk, „zdąża do swego celu“ z nieporównaną dokładnością i nieomylnością. A jak przytem głupio, jak „bezrozumnie“ spełnia swoją zemstę.

Przecież to czysto cielesna, czysto materyalna zemsta, nie dochodząca wcale do świadomości jej objektu.

Korzystając z pociągu „wieprza“ do płci pięknej, „mściciel“ za pomocą Bogu ducha winnej i oszukanej Zośki-Huzara, wciąga go do zasadzki, gdzie go usypiają i doprowadzają do stanu, pozbawionego absolutnie wszelkiego czucia i wszelkiej świadomości. Później, na dany znak, wchodzi on do jego pokoju i w oczach męczennicy-żony rznie „wieprzowi“ gardło, kaleczy twarz; „wieprz“ zaś, ani na chwilę się nie budząc, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, co z nim wyprawiają, ze stanu istoty żyjącej przechodzi do stanu dokumentu antropologicznego.

Czyż to istotnie „zemsta“ ze stanowiska jej objektu?

Jednym „wieprzem“, jednym lubieżnikiem, jednym uwodzicielem i gwałcicielem zrobiło się mniej, ale cóż z tego? Przecież sam „wieprz“ nawet nie podejrzywał, że się nad nim mszczą.

IV.

Wybaczcie mi wspaniałomyślnie, wszystkie czworonożne „wieprze“ czasów przeszłych, teraźniejszych i przyszłych, wszystkie wieprze prawdziwego świńskiego rodu! Wśród was niema takich osobników, a więc wyście powinni uważać za obrazę stosowanie waszej czcigodnej nazwy jako przezwiska dla podobnych przedstawicieli rodu ludzkiego. Wśród was niema uwodzicieli i gwałcicieli. Wśród was niema też wściekłych opętańcówe, chcących we krwi wroga ugasić pragnienie „bezrozumnej zemsty“. Jestto przywilej waszych pożeraczy. Ale z drugiej strony wyście zapewne tak szczęśliwe, że wam nie przekazuje się drogą dziedziczności i nie rozwija się w was, dzięki niepomyślnym warunkom, przyćmienie waszego świńskiego rozumu; wam nie zdarza się działać w przystępie upojenia chronicznym obłędem i szaleństwem i pod naciskiem wyobrażeń przymusowych. Dlatego na was się nie mszczą, was nie mordują za karę, ale po prostu zarzynają i zjadają.

V.

Czyż taką dziką, a zarazem głupią zemstę mógł wymyślić człowiek przy zdrowych zmysłach, człowiek zupełnie poczytalny? Czyż człowiek in-

teligentny i dobrze wychowany, nie owładnięty chronicznym i niepowstrzymanym affektem, będzie dostarczał sobie kanibalistycznej przyjemności, przerzynając drugiemu gardło dlatego tylko aby zarzynać? Czyż można, wobec tego, człowieka, który popełnił coś podobnego, karać, czyż można pociągać go do odpowiedzialności?

Ze wszystkiego widać, że w danym wypadku mamy do czynienia z osobnikiem, dziedzicznie usposobionym do częściowego obłędu; w szczególności zaś osobnik ten jest dręczony wyobrażeniami przymusowemi, które grają w jego życiu rolę nieprzezwyciężonej siły. Jest to jasne dla każdego myślącego obserwatora, z wyjątkiem, oczywiście, czcigodnych panów przysięgłych.

Inaczej postąpili przysięgli z bohaterem „Sonaty Kreuzerowskiej“, uznając go za warjata. No, ależ on zarznął tylko własną żonę, gdy tymczasem Siniow — uwodziciela swej żony, a więc osobistość, należącą do płci uprzywilejowanej, do tej samej płci, z której rekrutują się panowie przysięgli.

VI.

A jakżeż żona Siniowa?

Nawet w chwili zjawienia się u niej detektywa myśli nie o sobie, ale tylko o ukochanym człowieku.

— „On nie winien, to ja, ja sama wszystko zrobiłam! — oświadcza ona.

Tak, istotnie, ona winna wszystkiemu, bezwzględnie winna.

Winna, że została zupełną sierotą, bez żadnego oparcia w życiu.

Winna, że nauczaniem dzieci musiała zarabiać na kawałek chleba.

Winna, że w charakterze nauczycielki trafiła do wdowca lubieżnika, który ją zmusił gwałtem do poddania się jego woli, a później ją wypędził.

Winna, że śmiała wyjść za mąż.

Winna, że ukrywała przed mężem swój „upadek“, gdyż go kochała i drżała na samą myśl, że może utracić jego miłość, łudząc się nieokreśloną nadzieją, że może jakoś się uda.

Winna, że ukrywała przed mężem tak długo imię swego uwodziciela, bojąc się nie o niego, co ją zgubił, lecz o człowieka, przez nią ukochanego, któremu dostało się w udziale zgubić ją ostatecznie.

Winna, że, kochając męża „nierozumną“ miłością, czuła i myślała z nim wspólnie, poddając się jego zgubnej sugiestyi i, niby lunatyczka, poddawała się mu bez protestu.

Zapłaciła ona katorgą za swoje sieroctwo, za swoje osamotnienie, za sponiewieranie jej, za bezgraniczne przywiązanie do swego władcy.

I wy, panowie przysięgli, sądziliście, że macie prawo do wydania wyroku, na tę męczenicę, gdy tymczasem, na dobrą sprawę, powinniście byli,

uchylając czoła przed sponiewieraną ludzką godnością kobiety, prosić ją o przebaczenie za to, że wasi bracia, kierujący się tą samą moralnością i temi samemi, jeżeli nie świadomie i otwarcie uznawanemi poglądami, to w każdym razie nieświadomie działającemi pobudkami, jak prawie i wy wszyscy, doprowadzili tę nieszczęśliwą do stanu automatu bez woli, gotowego nawet brać udział w „zbrodni".

Nie ulega wątpliwości, że oboje „przestępcy" wysłuchali wyroku sądu z zupełną obojętnością. „Katorgą" nie nastraszyć tych, co zarówno przed spełnieniem „przestępstwa", jak i po jego spełnieniu, dręczyli i torturowali siebie w okrutny sposób: on samego siebie i ją, a o n a tylko siebie. W „katordze", czy poza „katorgą" w ich duszach była wieczna katorga, niczem nie dająca się zagoić rana, palący nie do zniesienia, nie do usunięcia ból.

VII.

A jednak główne pytanie pozostaje w całej mocy:

Czy winni są panowie przysięgli tego, że osądzili nie tylko oczywistego waryata, działającego pod naciskiem nieprzezwyciężonej siły, ale również i męczennicę, sponiewieraną i przez uwodziciela-lubieżnika i przez mściciela-waryata, pozbawioną własnej woli i poddającą się wyłącznie sugestyi obłąkańca?

Tak, są winni, ale dla swej niedomyślności, dla braku serca i dla braku poczucia sprawiedliwości, zasługują na zupełną pobłażliwość i.... przebaczenie.

NOC LISTOPADOWA *)

Wśród dzieł Wyspiańskiego, mających za przedmiot Rewolucyę listopadową, ta „Noc listopadowa" przedstawia jej dalekie początki, jej epokę bohaterską, jakby przedhistoryczną, a zawiera w sobie wszystko, co późniejsze chwile rozwiną. Z tej jednej nocy pada światło na wszystkie zdarzenia późniejsze, ludzie, którzy tej jednej nocy zabłysną, staną już przed oczyma w postaci swej wieczystej, nie zmienią się do końca. Nic dziwnego, że bogowie, więc wszystkie moce przyrody, udział w niej biorą.

Zapowiada poeta w tytule, że to sceny dramatyczne. Jest ich dziesięć. Układ ten znamy z innych dzieł Wyspiańskiego: „Legion" i „Achilleis" taksamo są nazwane. Lecz mimo tę nazwę, są to dramaty zwarte, skończone i jednolite, atoli nie nazwał ich poeta dramatami prawdopodobnie dla tego, że ilość tych scen jest nieograniczona. Granicę tu zakreśla sama natura po-

*) Sceny dramatyczne. Napisał Stanisław Wyspiański. Kraków 1904. Nakładem autora.

mysłu: ma się wszystko odbyć w obrębie jednej nocy wieczystej. Ze świtem kres dramatowi temu — mógłby się jeno powtórzyć. Zamilknie na dniu nocna tajemnica, lecz w wypadkach, które się naturalną potoczą koleją, będzie ciągle: w heroicznym polocie Chłopickiego w trzeci dzień bitwy grochowskiej („Warszawianka"), w szale Lelewela 15 sierpnia 1831 („Lelewel") Muzyczna tajemnica tej jesiennej nocy brzmieć będzie aż do końca. — Lecz każda z tych scen z osobna jest dramatem całkowitym, pozornie oderwana, łączy się z rewolucyą, w każdej tkwi całe powstanie i cała wojna.

Możnaby te sceny podzielić według motywów muzycznych, bieg ich określających, od najwyższych tonów wojennych, w które uderzają Pallas i towarzyszki jej, boginie zwycięstw historycznych, Niki, aż do kojących i jesiennych szmerów ziemi zasłanej płomiennym liściem, którym odzywają się Demeter i Kora (dziewczę, córka), gdy na zimę żegnają się. Muzyka ta określa działania ludzi, powoduje nimi, muzyka przyrody, wiatr czy szum czy jesienne, omdlewające zamieranie ziemi i szelest liści wśród grobowej ciszy.

Noc ta bowiem w tym dramacie nie tylko jest datą historyczną, lecz również istotą żywą i wieczystą, cokolwiek dzieje się wówczas, musi podlegać jej prawom i naodwrót wszystkie jej chwile ściągać się muszą do zdarzeń. Pod jej wpływem zdarzenia rozszerzają się i urastają do wydarzeń całej przyrody. Tej nocy listopadowej „jesień się sili", szczęście na śmierć idzie, że konieczność woła nieodmienna i, że dusza woła.

Wszystkie niemal wypadki tej nocy opisał Wyspiański w tych scenach dramatycznych, dokładnie, przedstawił myśl i ducha ludzi, którzy je stworzyli, że w tym kształcie jego sztuką utrwalonym zawsze żyć będą. Miejsce i czas określa charakter tego ducha. Sztuką helleńską wzniesiony pałac Łazienkowski, teatr wśród sztucznych rozwalin i ruin Palmiry, chwila w której jesień się sili, wskazują konieczność greckich tworów mitologicznych; rok 1830, cały jeszcze tkwiący w tradycyach cesarstwa, umysły wykarmione utworami sztuki klasycznej powołują tę Pallas i te Niki, atoli już nie jako oznaki, lecz jako świadome swej istoty stworzenia. Cała epoka w ten sposób odmalowana dokładnie. Wyspiański więc przedstawił ludzi żywych, przedstawił co rządzi ludźmi, jednostkami, i zbiorowością, całą rewolucyą: atmosfera epoki i przyroda ujęta po części stylem tej epoki. W takiem przedstawieniu pobudki ludzi wychodzą na jaw najwyraźniej, ludzie bowiem wyrażają się sami w dramatycznych rozmowach językiem swego czasu i swego gruntu. Dramatyczna zaś rozmowa jest taka, w której ludzie każdym ruchem zaznaczają swój stosunek do sprawy powszechnej czyli charakter odsłaniają. Ludzie Wyspiańskiego wyrażają się wielkimi rysami, że całe życie można wyczytać z ich słów, toteż analiza psychologiczna jest wobec nich niemal bezsilna. Atoli szczegóły, malujące epokę, nie służą wyłącznie do odmalowania epoki, lecz się łączą ze sprawą powstania: tak n. p. scena w Teatrze Rozmaitości wprowadza w żywą

atmosferę z r. 1830, lecz pobudka wojenna, która wśród przedstawienia zagrzmi na widowni, pada już na grunt przygotowany: aktorowie na scenie pod wpływem chwili mówią rzeczy podyktowane im wprawdzie przez role, ale zaczepiające o wypadki obecne. Podobnie postaci mitologiczne jawią się w tym samym odwiecznym kształcie od wieków przekazanym, lecz ich ruchy, zdążające ostatecznie do tego samego celu, inne mają znaczenie, ściślejsze.

Uderza w tych scenach odrazu rzecz w rewolucyach i wojnach niespodziana: ład nieskalany wśród zgiełku. Przez ład rozumieć tu należy konieczność, zdarzenia biegną logicznie, powiązane są węzłem przyczynowości, nic nie pozostawiono przypadkowi. Historykowi być może tak nie wolno, nie wolno mu bowiem przestawiać porządku zdarzeń sprawdzonego, wszystko w swym czasie musi się odbyć. Tą nocą jednak w dramacie inne rządzą prawa. Odnosi się to przedewszystkiem do sceny VII (W Ulicy), która zdarzenia z rozmaitych chwil w jedną chwilę ściągnęła. Nadto osoby, które w rzeczywistości rolę odegrały, wcale nie ukazują się, jako nie tłumaczące biegu zdarzeń tej nocy, lecz może późniejszych, z właściwej drogi zepchniętych. Nic nie pozostawiono przypadkowi, a można powiedzieć, że wychodzi z tego zwycięsko Przypadek, siła nieprzewidziana.

Jest przedstawione tajemnicze i nieuchwytne zajście: Rewolucya, która odbija się w kilku miejscach, załamuje się w duszach rozmaitych i rozumach samo nieuchwytne jak wiosna, jak jesień. Jest wszędzie, tkwi we wszystkich ludziach i zdarzeniach, unosi się wieczystym kształtem z gruntu, na którym wyrosło i, z którym je poeta na zawsze związał. Jak bóstwo, jak przyroda. Różnolite umysły i serca, dążenia i pragnienia sprzeczne łączy rzecz jedna; powstanie. Ludzie, czy dobrze działają czy źle, działają pod wpływem tej przemożnej siły przyrody, wobec której nic się nie ostoi. Oto nowe pojęcie, artystyczne, tej rewolucyi.

Wypadki tej nocy historya opisała dokładnie, niektóre też sceny wiernie i dokładnie przejęte i ułożone dramatycznie z opisów współczesnych, z wspomnień świadków naocznych, którzy brali w powstaniu udział. Historya jednak daje fragmenty, zajmuje się rezultatami działań i ich oceną, do wnętrza mieszkań i dusz nie zagląda, a nawet sądzi i waży działanie w stosunku do rezultatów, nie daje ludziom pełnej swobody wyrażania się, więc często odkrywa pobudki, których nie było, albo pobudki prawdziwe fałszywie tłumaczy. W dramacie Wyspiańskiego artyzm panuje nad wszystkiem: niema tłumaczeń, jest przedstawienie, swobodne, stąd dziwne plątanie się rozmaitych dążeń, jakby zazębianie się jednych o drugie, że splot jest nie do rozwikłania, a jest jasny. Tak umie Wyspiański przedstawić atmosferę wojenną, na którą przecież tyle rozmaitych rzeczy się składa: a ton brzmi czysto i szlachetnie. Toteż takie sceny jak piąta (W Teatrze Rozmaitości) i szósta (W mieszkaniu Lelewela) albo druga (Salon w Belwederze) zaczerpnięte są całkowicie z rzeczywistości,

Przez pomyłkę opuszczono następujący ustęp tak, że przerwa w toku nastaje. Po słowach „pochód rusza", należy czytać:

(Ta ostatnia scena nie należy już właściwie do dramatu, jest zaś jakby epilogiem, w którym pewne szczegóły dramatu wyjaśniają się pełniej. Kres bowiem dramatu następuje z chwilą, w której dzieło Sławy, Rewolucya, stało się. Otóż w tej scenie ostatniej myśl rewolucyjna występuje już świadoma, dojrzała, w Łukasińskim, tu owa siła przyrody staje się osobistą, historyczną. Tu wywiódł poeta mus powstania i jego nieodpartą konieczność naturalnie: w tem znaczeniu, że wychodzi z duszy, z jej wolności, a więc także z przyrody, lecz świadomej. W przedhistorycznych chwilach bogowie tu byli potrzebni. — W biegu zdarzeń okazało się, że W. Książe jest niewolnikiem na ciele i na duszy. Ducha niewola nie dała mu targnąć się w pęta niewoli carskiej. Lecz w ciągu nocy, i na myśl o Łukasińskim pojął tę wolność, którą przeczuwał jedynie. Ta myśl każe mu rzec: „Ja upadłem". Na widok Krasińskiego, który go z swoim pułkiem nie odstąpił, musiał pomyśleć o Łukasińskim: „Wy nie wierzycie w Polskę? — Co? — A ja w nią wierzę!" I wówczas, po proteście ze strony Krasińskiego, W. Książe każe wołać Łukasińskiego, więźnia duchem wolnego. W. Książę pojął, co znaczy ta wolność dla niego niedostępna. Wszystkie kontrasty i wszystkie odcienie zgromadził Wyspiański w tych dwu postaciach, że są to jakby absolutne charaktery, które wzajem się odpychają i samem istnieniem zwalczają. Walka ta jest nieunikniona: ludzi wolnych z niewolnymi. Mając w pamięci i na widoku takiego Łukasińskiego, W. Książe wie, że niema dla niego miejsca w Warszawie. Uchodzi).

historya i wypadki dostarczyły tu fragmentu, suchego faktu, a trzeba było umieć zgromadzić wszystkie szczegóły, które działały oddawna przez długi czas i połączyć je z wypadkami tej nocy: na zrębie fragmentu trzeba było zbudować charaktery Chłopickiego i Lelewela. Tu jest właściwy kulminacyjny punkt nie zdarzeń, lecz artyzmu. Tak wskrzeszać dawne życie umiał istotnie, prócz Wyspiańskiego, może właśnie jeden Lelewel: złączyć przeszłe i przyszłe fakty i sprządz je z jednem, nawet niepozornem wydarzeniem.

Rzecby zaś można, że w biegu zdarzeń niema właściwie stopniowania, ta noc listopadowa cała jest kulminacyjnym punktem wszystkich zdarzeń minionych i następnych, stopniowanie jest w obrębie każdej sceny, która samodzielnie się roztacza i w ostatku wpływa do Nocy. Kulminacyjna chwila zjawia się odrazu w pierwszej scenie, wzięty tam jest najwyższy ton wojenny, który w scenie ostatniej wydłuży się w dal urywanymi dźwiękami swobody i otworzy perspektywę na przyszłe wypadki. Tam w Alejach Ujazdowskich W. Książę gotuje się do opuszczenia Warszawy chłodnym rankiem jesiennym. W dali toczą się z głuchym turkotem armaty, nieco bliżej wśród drzew ogołoconych, wśród liści zaścielających ziemię i tajemniczo a żałobnie szeleszczących, W. Książę na koniu, opodal jenerał Wincenty Krasiński. Wyprowadzają na rozkaz W. Księcia Waleryana Łukasińskiego, twórcę sprzysiężeń, herosa śledztw i sądów, teraz ociemniałego, zniszczonego więzieniem i cierpieniami i przywiązują do armaty. W tym człowieku nieświadomym wypadków, rewolucya żyje od dawna, teraz budzi się, jest w powietrzu, nieuchwytna i wydziera mu załamane dźwięki:

„Witaj Jutrzenko Swobody
Za tobą Zbawienia Słońce“:

I pochód rusza. —

Tak więc powstanie, siła nieznana i tajemnicza jak wiew jesieni, odzywa się we wszystkich miejscach, zdarzeniach i ludziach. Jest obecne. Tej jednej nocy poeta umiał zgromadzić wszystkie szczegóły, które działały oddawna, — Łukasiński samem zjawieniem się mówi o długich latach wysiłków i przygotowań, — lecz tej nocy w spotęgowanej ujawiły się postaci.

Rozpoczął się ten ruch w szkole podchorążych. Od południowej strony Warszawy stoi na wzgórzu Belweder, w którym rezydował W. Ks. Konstanty. Za pałacem jest park, łączący się z gajem Łazienkowskim. Tu zachodził często król Stanisław August i w cienistych alejach rozmyślał sposobem swego czasu nad ideami ogólnemi, którym otoczenie to ozdobione pałacem w stylu helleńskim wyraźniejsze dawało zarysy. Tuż za Łazienkowskim pałacem mieściła się szkoła podchorążych, w tyle zaś pałacu obszerny ogród, a na jego krańcu most kamienny z konnym posągiem króla Jana III, gromiącego Turków.

Na tem miejscu 29. listopada 1830 zaszło zdarzenie tajemnicze, które w mgnieniu oka rozniosło się po mieście i ozwało we wszystkich umysłach.

Kilkunastu młodzieży zebrało się pod posągiem białym króla, widniejącym w mroku rozjaśnionym światłem księżyca i na dany znak (o 6. godzinie miano ujrzeć łunę pożaru od strony Solca) miało rzucić się na Belweder, ująć i uwięzić W. Księcia. Równocześnie podchorąży Piotr Wysocki miał rzucić się z szkołą na pułki rosyjskie rozłożone w koszarach i rozbroić je. Napad na Belweder nie udał się, celu nie dopięto: W. Książę wyszedł cało; wyprawa Wysockiego na czele podchorążych nie powiodła się, wojska rosyjskiego nie rozbrojono, lecz odniesiono pewne korzyści, więc rewolucya stała się, już była istotą żywą. Wybuchła.

Wypadki powstania listopadowego same przez się tak są już dramatyczne, że proste ugrupowanie faktów byłoby wstrząsające. Lecz Wyspiański przedstawił narodziny rewolucyi, jej ukazanie się nagłe i nieodwrotne, jej rozrost, wydobycie się niespodziane z gruntu. W dramacie wszystkie przyczyny powstania muszą tkwić w tej nocy, w ciągu dyalogu zaznaczą się przyczyny rozłożone na cały szereg lat, tu zaś mamy do czynienia z jedną chwilą, z miejscem, powstanie stąd wychodzi, a wówczas to miejsce musi mieć znaczenie odmienne i jedyne. Powstanie wykluwa się w tem otoczeniu i już się niepokojem zaznacza w salonie W. Księcia. Tam o niem mówią, jako o rzeczy nieustannie wiszącej nad głowami, stukającej w szyby okien, idącej z ogrodu z szmerem liści, z jaśnieniem księżyca. Mówią o niej jako o rzeczy pewnej. Były doniesienia o spiskach, grożono powstaniem codziennie, że w końcu W. Książe w napięciu żył ciągłem. Dni jednak mijały, nic się nie stało. Odłożono wybuch na później; lecz jedną z bezpośrednich przyczyn wybuchu o tej porze była wieść o udzieleniu Konstantemu nieograniczonej władzy nad Królestwem przez cara Mikołaja I. O tem jest mowa w scenie drugiej, Konstanty pokazuje list cara Joannie. Tu Wyspiański rozwinął sztukę przedziwną: z tej nocy o W. Księciu wiadomo nie wiele. Spał, gdy Belwederczycy wpadli do komnat; porwał go kamerdyner gwałtem z łóżka i wepchnął do gabinetu, skąd tajemne schody prowadziły do lewego pawilonu księżnej Łowickiej[1]), Joanny, wedle innych na poddasze[2]), skąd potem przybiegł do Joanny szukać ratunku. Na tym fragmencie wzniósł swoją budowę Wyspiański. Z tego jednego zdarzenia wysnuł całą jego postać. Rzecz dzieje się w salonie, (scena IV.) tak, że wszystkie wypadki napadu tu się mogłyześrodkować. Powalenie Gendre'a tu się odbywa, tu wchodzi Joanna, tu przybiega Konstanty. Tego W. Księcia przedstawionego [głównie w scenie drugiej uchwycić nie można, i razem widać, że to człowiek przejrzysty. W chaotycznej jego głowie przewalają się pod wpływem listu cara projekty niepodległości (i on bowiem niewolnik, tylko, że re-

---

[1]) Mochnacki t. II.
[2]) Barzykowski t. I.

wolucya nie dała kierunku jego pragnieniom), suną idee, które w końcu okazują się zmyślonemi, wreszcie znowu prawdziwemi, lecz zdeptanemi przez podejrzenia Joanny, która go zna nawskroś, podniecanej nadzieją ukazaną zdala i niedowierzaniem. W tym chaosie wyłania się rzecz jedna, wyraźna, to strach Konstantego, z jednej strony przed Mikołajem z drugiej przed Polską. Ani jedno drgnienie nie dochodzi kresu; zwycięża w nim zawsze duch rutyny, strach. Rys to pochwycony z niezwykłą bystrością. U Konstantego nic nie dociera do kresu, wykluwa się niby coś nowego i świeżego, zdąża niby nieutartą drogą, ale to wszystko pozornie. Droga stara już wyznaczona, on nią pójdzie nieodmiennie, ducha rewolucyi nie zrozumie. Nieobliczalny on pozornie, jego pragnienia i porywy, to nawet nie maska, niewiadomo, czy ona właśnie nie jest prawdziwą twarzą, lecz bezsilną, chociaż on ją sam potem za fałszywą podaje. Nieobliczalność znika natychmiast, porywy nie dojdą kresu, Konstanty wpadnie w dawny nałóg ślepego posłuszeństwa. Od niego samego nic nie zależy. Wszelkie „gdyby“, stanowiące zazwyczaj oś tragicznych powikłań i nieodwrotnych, jest fałszywe, nie istnieje wcale; nie było wcale zwrotu, chwili przesilenia, nic nie było. Kierunku porywom Konstantego rewolucya nie nada, chwilowo go jeno oszołomi, lecz wydobędzie potem ze zdwojoną siłą decyzyę niezachwianą, w dawnych już czasach może powziętą przez przodków, pozostania na dawnej drodze, a bujania wyobraźnią ponad nią, bez myśli o doprowadzeniu czegoś do kresu. Stąd poczucie małości, wyrzuty sumienia, które właściwie nic nie znaczą; mówi się o nich, że są i tem się coś naprawia, lecz robi się swoje. Dlatego może W. Książę w ostatniej scenie mówi:

„Ja jasno widzę. Ja upadłem.
„Upadłem już. — Już w ogniach, hej, pobladłem.
„Ja już skończyłem się“. (X. 196.)

Połączyć to trzeba z jego słowami do Joanny.

„Słuchaj, — ty milcz, — ja mówię świętą rzecz;
„ja się zbudził od dziś, — ja będę lew,
„ja chcę krwi, walczyć chcę, — ja poczuł krew
„w powietrzu. — Będę Bóg przez ciebie“. (II. 38)

Joanna odpowiada: „Łżesz“. Jest możliwe, że on wcale nie łże teraz, potem jednak powie, że kłamał, gdy strach wyjdzie na wierzch. Prawda u niego pozorna i kłamstwo u niego pozorne. Moskal tu uchwycony w zasadniczych i szerokich rysach.

Owóż na tego W. Księcia sunie rewolucya z ogrodu. Tej nocy coś się wszędzie rusza, niepokój w atmosferze jakby zaczarowanej, to jesienna noc rozświecona bladym księżycem, dobywającym z mroków bieli posągu, podsuwa rozognionym wyobraźniom kształty niezwykłe. W tej atmosferze ogrodu

wyobraźnia już od tej chwili pozostanie, przejmie się jesienią, którą poeta opisuje dramatycznie w pożegnaniu bogini Demeter z Korą, gdy niedaleko, pod posągiem konnym, „młodzi bohaterowie w bolesnej zadumie“ czekają umówionego znaku, żeby ruszyć na Belweder. I pojmie wszystkie tajemne związki zdarzeń z przyrodą. Ta noc zmienia zwykłe stosunki rzeczy, wysuwa na wierzch wieczyste i z dusz wydobywa obawę. Znaczenie rzeczy zmienia się. 29. listopada 1830, gdy już pomknęli z powrotem Belwerderczycy, żeby się połączyć z szkołą podchorążych, a W. Książe uratowany, patrzy przez okno, bo go tam coś nieprzeparcie ciągnie, ten posąg króla Jana III. staje się w oczach przerażonego księcia upiorem z dawnych czasów, on sam nagle w innem widzi się środowisku. Posąg wskazuje nań wyraźnie jakimś gestem wieczystym i sumienie mu burzy. W tej chwili przerażenia książę nagle pojął — posąg teraz żyje i ma znaczenie nie jeno pamiątki, ale ma związek z tą nocą. Gdzieś tego struchlałego księcia o ziem powalono. Służba ratująca? Nie. Z ksiąg Machabeuszów oto znalazł się na tem miejscu rycerz niebiański i jego, Heliodora, bezczeszczącego świątynię Pana, wygania. Teraz rewolucya istotnie już j e s t, oto leży Heliodor, a koń nad nim wspięty w odwiecznej postawie utrwalonej przez sztukę (znacie fresk Rafaela), a ożywiony przez Wyspiańskiego naturą, z tego gruntu wziętą. Rewolucya zrodzona, W. Książe ją pojął i pojął swoją rolę. W tej postawie już na wieki utrwalon. — Tak nieznacznie dotknięte analogie ukazują zdarzenia w nieprzewidzianem, artystycznem oświetleniu, ponieważ łączą je z terenem tak, że te wypadki na tym terenie zawsze są obecne.

Rewolucya w kilku miejscach wybucha równocześnie. Szkoła podchorążych inną postać bierze na się tej nocy: staje się miejscem zebrania wszystkich mocy, zwycięstwo niosących i wróżących, zgromadzają się tu na wezwanie Pallady, wojennej bogini, co ducha do boju zagrzewa, Niki z rozmaitych miejsc słynnych wielkimi bojami: zwycięstwami i klęskami, a więc Nike z pod Maratonu, Nike z pod Salaminy, Nike z pod Termopil, Nike trojańska, Nike z pod Cheronei, wreszcie Nike Napoleonidów nieznana starożytnym oczywiście. Wprowadził ją Wyspiański dla jenerała Chłopickiego, lecz jej nie wymyślił:

„Znacie tę Nike Fidyaszową,
jak sandał wiąże szybka,
jak ze zwróconą w górę głową,
(tej brak, gdyż dzieło jest fragmentem)
wtrzymana w locie, gibka,
sandał chce splątać rozplątany
a strój jej, taśmą nie wiązany,
z polotnych fałdów tors odkrywa
i pierś na ciele w pół przegiętem.
Otóż to ona się odzywa

jako Nike Napoleonidów“ (I. 11.) Niki były to postaci niewieście skrzydlate, tworzy rzeźby greckiej. Nike nie wyobrażała mocy przyrody, lecz była uosobieniem pojęcia „zwycięstwo“. Pojęcie to dość trudno złączyć z przyrodą, o ile przyroda jest sama przez się zwycięstwem twórczego ducha. Toteż Nike musiała uchodzić za wyobrażenie twórczej mocy, nie zaś zaborczych żądz i ujarzmień, musiała być wyrazem mocy, szczęścia i wolności. Musiała wyrażać ducha narodu lub bohatera, któremu zwycięstwo przynosi lub zwiastuje, jego geniusz, jego zdolność pokonywania trudności i objawiania swych sił w dziełach nieśmiertelnych. Niewiadomo, czy Grecy tak tę postać pojmowali. Znali jedną jedyną Nike, wszystkie zaś inne to wytwory rzeźby lub dostosowana do potrzeb kultów miejscowych szczególna jej postać. Podobno każdy zwycięzca, w boju krwawym czy też i w pokojowych zapasach, więc na igrzyskach, miał swoją Nike i od niej wieniec wawrzynu odbierał; poezya jednak grecka zna jedną tylko Nike (Homer nie zna jej jeszcze wcale), do której jako do wielkiej straszliwej bogini poeci prośby zanoszą o zwycięstwo. U Wyspiańskiego mamy do czynienia z tworami rzeźby, jak to z Fidyaszowego widać dzieła i z tego, że są skrzydlate (tylko Atena Nike nie ma skrzydeł, zowie się wówczas Nike apteros zwięźle). Rzeźba stopniowo ożywiała to bóstwo późniejszych czasów, że w końcu stworzyła cały szereg żywych artystycznych form. Tą właśnie późniejszą formą posługuje się Wyspiański, tem bardziej, że z przyrodą już silniej spojona. Już bowiem sama postawa: lot niewstrzymany, skrzydła rozpięte, całe ciało dumnie naprzód podane, zapęd nieposkromiony niczem nasuwa myśl o zwycięskim pędzie wichru który prosto przed siebie gna i wszystko burzy na drodze, świeży i szczęśliwy, a więc o natchnieniu, które bojownika ponosi i nim kieruje. Najczęściej występują Niki razem z Palladą, która błyskawicą rozdziera chmury gromowe, że potem znowu światło nastaje, więc gotuje zwycięstwo ducha i jasności, nieci w bohaterach żar i natchnienie dla dzieł nieginących. Wyspiański używa zawsze imienia Pallas, nie zaś Atena. Artystyczny jest prawdopodobnie tego powód, imię Pallas mocniej łączy się z przyrodą, odnosi się zaś zapewne do drgania powietrza. Skutkiem tego, gdzie zjawia się Pallas, tam mamy do czynienia z tchem i wiewem, mówiąc po grecku, z natchnieniem, z polotem i szałem ducha, po polsku. Pallas jawi się we wszystkich powiewach, czy gdy wiew przejdzie przez łąkę i trawą zakołysze, czy gdy trąci fletnię i dźwięków z niej dobędzie, czy wreszcie, gdy w surmy bojowe uderzy i zatrzęsie przestworami. Imię zaś Atena z przymiotem mądrości daje snadź kierunek szałowi ducha, więc np. Achillowi, gdy przeciwnie Aresa rozbraja wyobrażającego zgiełk wojenny, bez myśli i celu. Człowiek, który jest żołnierzem i tylko żołnierzem jest czcicielem Aresa. W „Nocy listopadowej“ Ares zjawia się wśród oddziałów, które idą do Belwederu, nie przyłączają się do powstania. Jak powiedziano, wszystkie te bóstwa wyobrażają siły przyrody, lecz

u Wyspiańskiego niema wyobrażeń oderwanych, znaków, lecz są istoty żywe i całe, poruszają się wedle swej myśli ożywionej sprawą, w której biorą udział. Lecz losy się ich nie zmienią przeto, spełnią się innym sposobem jak w innych dziełach. Zdarzenia przyrody są u Wyspiańskiego dramatyczne, można w rytmie słów, które mówią te istoty, słyszeć dźwięki, na szeroką wiodące naturę. To ich dramat tu się odbywa, losy oddawna spełnione jeszcze się raz tu, lecz innym spełnią porządkiem. Pallas roznieci ducha do prawego boju, bo walką jeno dzieła nieginące powstają i żyją, lecz ulegnie losom wiadomym. Przypadek, zbieg zdarzeń nieprzewidzianych ubezwładni ją, a ona się losom podda wyższym.

Idźmy za zdarzeniami. Na wezwanie Pallady zlatują się w poszumie Niki w korytarzu szkoły podchorążych, naturalnem swem środowisku, i dzieło między siebie rozbierają. Nike Napoleonidów leci do Chłopickiego, znajdującego się w Teatrze Rozmaitości, Nike z pod Cheronei do Lelewela, siedzącego przy konającym ojcu. Ona właśnie, co patrzyła na pogrom Greków, do niego! tego prawdziwego guślarza i jasnowidza, który odgaduje przeszłość i patrzy w daleką przyszłość i wie wszystko, jakby był świadomością tych wypadków, przewiduje, a mimo to pójdzie wkrótce za szałem, za wołaniem ducha. Inne Niki lecą na miasto do Aresa. Sama Pallas zostaje z Wysockim i ogniem świeci mu w oczach, gdy braci wzywa do broni. Potem z nim pomknie do koszar, wykona wojenne ruchy przeciw wojskom moskiewskim, złączy się z Belwederczykami przy moście Sobieskiego i popędzi na miasto dla zdobycia Arsenału. Tu, w scenie VII. (W ulicy) myśl Pallady ukazuje się wyraźnie. Od chwili bowiem wybuchu nastał już rozdział: już są bojownicy ducha i bojownicy Aresowi. Jenerał Żymirski wiedzie swój pułk do Belwederu, gnają go Ares i Niki. Niektóre bowiem pułki wojsk polskich uznały całą sprawę za jakiś bunt i rozruch uliczny i ten chcą stłumić. Ares woła: „Zwycięstwo biorę nad tłumem!“ i pędzi oddziały Żymirskiego do Belwederu. Za sprawą Pallady odłącza się Czechowski, porucznik, i kilka innych kompanij. Wpada Wysocki z Podchorążymi i Belwederczykami. Im to Pallas, drogę wskazując do arsenału, wyjawia swój zamiar, który potem wypadki skrzyżują. Oto, chcąc ułatwić zdobycie arsenału poddała myśl niektórym pułkom polskim, aby przystały do W. księcia i wzięły na się rolę tłumicieli powstania. Idą więc teraz, zaślepieni aresowym szałem, myślą, że ruch w zarodku pokonany, ale to pozorne. Pallas pójdzie potem do Aresa uwięzionego w pustym pałacu królewskim i swojem słowem obudzi w nim ducha dla sprawy. To znaczy weźmie go za narzędzie do przeparcia swej myśli, tem bowiem Ares jest od wieków. Lecz jest nieodzowny. Pallas, pojmawszy w zasadzkę tradycyjną Aresa, pozbawiła się narzędzia fatalnie. Za czas znowu powstanie, jak przepowiada Kora. Widzimy, że wszystko dzieje się przez Pallas, ona jest duchem i logiką zdarzeń. Zjawia się Stanisław

Potocki, jenerał, spiskowi proszą go, żeby objął nad nimi dowództwo. Wszelkie zaklinania i prośby są daremne, jenerał nie chce i milczy, więc spiskowi idą sami, i zostawiają go z Palladą. Pallas nie namawia go, lecz mu kilka upokarzających zadaje pytań. Wreszcie uderza zasępionego jenerała włócznią po głowie i mówi: „Zapamiętaj się w twoim rozumie". Potocki zapamięta się i wkrótce zginie również za sprawą Pallady. Wszystko, co się dzieje tej nocy jest dziełem ducha tego miejsca i czasu; histoiya, z konieczności czy nie, ocenia postępki i sąd o nich wydaje, poeta wszystkich zarówno żywo przedstawia i rycerzy ducha i zaślepionych: motywy ich działań określa naczelny duch. I Ares za sprawą Pallady do Belwederu dąży. Następuje wkroczenie w ulicę oddziału Zaliwskiego, Potocki go bałamuci i chce skierować ku Belwederowi. Zaliwski przeciwi się, wpadają żandarmi rosyjscy, oddział Zaliwskiego daje ognia, żandarmi strzelają, Potocki ginie. Ginie potem młody Gendre i jenerał Nowicki za sprawą szpiega Makrota, który ginie z rąk pospólstwa. Zjawia się książe Adam Czartoryski na tem pobojowisku. Myśli ma zaprzątnięte koroną i szeptem to wypowiada. 15. sierpnia 1831 myśl ta będzie już dojrzała, lecz się skruszy wobec mocy Lelewela. Książę ją porzuci dla uratowania duszy i serca. („Lelewel" IV.) Wszystkie te wypadki zestawiono tu wedle tekstu dramatu, poeta bowiem, z prawa korzystając poetyckiego, zgromadził w scenie VII. wszystkie najważniejsze szczegóły w takiem skróceniu dosadnem, że całość rysuje się jasno.

Przy pomocy Pallady, płomiennego ducha, zdobyto Arsenał, lud się uzbroił, powstanie żyło, W. książe uchodził z Warszawy. Lecz tu zaszło zdarzenie nieprzewidziane, sprowadzone przez samą Palladę niebacznie. Ares popadł w niewolę miłosną, w inny szał, wrogi ogniom Pallady. (To może go uwięziła Afrodyte z Białego Domku). Hermes się zjawia, zesłany przez Zeusa dla „zniweczenia Pallady". Jeżeli to podstęp, to własną bronią pobita, podstępem dzieło rozpoczęła. Pallas poddaje się losom, sama tę śmierć sobie zgotowała, zwołuje Niki i ulatuje. Co nastąpi, wiadomo; wojsko pójdzie na wojnę, powiodą je z obowiązku, jakby z musu, za milczącem zezwoleniem W. księcia, który ich zwolni od słowa. W takiej wojnie niema Pallady.

Tak więc i ten dramat, jak niemal wszystkie inne Wyspiańskiego, jest tragedyą gruntu, na którym wypadki się odbywają i ducha tego gruntu i czasu. Duch to nieśmiertelny i jego tragedya jest wieczna i rozgrywa się każdej nocy na tem miejscu; czas i miejsce jego postać określają: pamiętacie z „Wesela" tragedyę Chochoła, z „Wyzwolenia" tragedyę Geniusza, z „Legendy" tragedyę Kraka i Wandy — inne — otóż to była, tutaj, tragedya Pallady i innych duchów, o których później. — (Dok. n.)

St. Lack.

W. MITARSKI.

FRAGMENTY DRAMATYCZNE.

II.

Każdą z mych myśli jad dzisiaj zatruwa
U samych źródeł
Zanim się wylęgnie która
Zanim się zerwie do swojego lotu
Już jej brak siły, już skrzydłem nie włada.
Włóczy się tylko i znużona pada.
A w głębi, na dnie duszy, zawiść trawi
Wszystkie uczucia i na perz je spala
Płomień jej w górę strzela
I przez szyby oczu na świat pogląda
A w tem zabarwieniu, wszędzie nienawiść widzę i nieprzyjaciela.
Gniew ją raźnie wspomaga i podaje ręce
Tej chudej postaci, co się w takiej męce
Ducha zrodziła a potem pospołu
Razem ku górze się wznoszą
I siadają na ustach w przekleństwie-rozkoszy.
Czemu na ustach?
Czemu nie w żyłach, nie w krwi, a potem nie w dłoniach?

. . . .

Czyliż brak mi siły?...
Nie. W przódy niech osiądą w głowie.

Tam spłodzą zamiary,
A potem pójdziemy przez zgliszcza, pożary,
Hen w świat daleki, widny i szeroki,
Zrazu śpiew śpiewać będziemy głęboki,
Zwycięzki, a potem wzajem przeklnieny się sami.

III.

. . . .

. . . . . . Dzień już zwolna kona.
Światło się jeszcze po pagórkach włóczy,
uchodzi jako ostatnie szeregi z pola walki.
Z ciemnych zaułków, dokąd nawet z rana
słońce spojrzeć nie śmiało,
wychyla się długopalczasty Cień
i Mrok długonogi —
obaj znamiona lęku i trwogi
na sobie noszą. Pełzają chyłkiem, cicho,
chwilami przystają i drżą
jak z palcem na ustach złodziej albo skrytobójca.

. . . .

Światło uchodzi zwolna jako zwyciężony
lecz pewny swego zwycięstwa, nazajutrz — rano!
Cóż mi za pociecha?!
Cała długa, straszliwa Noc..
Piersi ciężki smutek tłoczy,
troski i przerażenia mgła przesłaniać oczy
poczyna, które ostatniem spojrzeniem
Ave! — słońcu szlą.
Mrok już stapiać poczyna wszystko w ciemne masy,
co groźną raczej przybierają postać,
spokój się w duszy już nie może ostać,
spokój, co trzymał dotąd na uwięzi
wszystkie hydry mej duszy, co jak zwierze
w ciemnych pieczarach leżały za dnia, a teraz na rubieże
Nocy wychodzą. I czuję jak nadejdzie chwila
kiedy z trzaskiem pękną zawory mej duszy,
a z głębi, z dna, wypadnie stado rozszalałych jędz
i uganiać się pocznie jako wiatr

we mrocznej, ciemnej sali,
kiedy jesienną nocą przez wydarte szczeliny
okien i drzwi burza się w wali
i rozpocznie swój taniec dziki i szalony. . . .
A kiedy palący oddech gniewu zwieje mi ze skroni
znużenie, którem się od pokus życia broni
dusza ma, i w płonącej głowie pożogę myśli nieci
co w ciemne przeznaczeń moich niebo
jako krwawe, złote ptaki lecą,
wtedy, wtedy czuję, że jestem.

. . . .

Ts ! zda mi się, że zrywa się wiatr,
choć wokół taka martwa cisza...
Czuję, jak drżącym krokiem niepokój się zbliża
do moich bram, i lekko, zwolna, stukać w nie zaczyna.
Serce w śmiertelnej trwogi tan ruszać już poczyna.

. . . .
. . . .



LEGENDA.

(DOKOŃCZENIE).

IV.

W pierwszem wydaniu „Legendy“ to przejście od rzeczywistości do mytu było zaznaczone dość luźnie. Zgon Kraka nastaje tam nagle wśród rozmowy z Łopuchem i Śmiechem, wśród niebezpieczeństwa, bo wrogowie tuż. Rozmowa toczy się, jak to zwyczajnie przy konającym, dokoła dawnych, szczęśliwych czasów, w których Krak trudy podejmował wielkie i dzieła, wreszcie dokoła życia zagrobowego. Śmiech mówi: „tak ja myślę, — że twoja dusza nie pójdzie — ani na pole płaczu — ani na pole wesela... — ty królu — zawiele kochasz zamek — i twoją Wisłę i skały —“. Sam Krak mówi: „a ja — gdzie pójdę, jak myślisz; — a już miarkuję, że to blizkie; — Tak mi się widzi, — że niema nic dalej — poza tę górę i Wisłę. —“ W ten sposób rzec można, poeta przygotował akt drugi, który cały niemal rozegra się w głębi Wisły gdzie „Krak leży olbrzymi na kamiennych głazach, skamieniały, śpiący“. Tam go ponieśli Wiślanie tej nocy, która wieki trwa, że widoczna, jako to dzisiaj dzieje się, a Krak jest postacią wieczystą z dna Wisły wyrosłą. Jego postać starcza, kamienna przyciągnie Wandę, gdy nazajutrz, pokonawszy wroga, stanie na promie. Związek jest malarski, silny, ale jeszcze luźny, Krak już nie działa, jakby nie żył. Niema związku ścisłego z śmiercią Wandy, a więc między porwaniem zwłok Kraka przez Wiślan a późniejszemi zdarzeniami niema następstwa ściśle logicznego.

W drugiem wydaniu budowa jest zwarta, jednolita. Krak tu jest wyraźnie określony, umiera, ale żyje, należy do swojego czasu, daleki jest, zamierzchły i bliski, dzisiejszy, żywy w niejednym może typie ludowym. Ów Krak z pierwszego wydania nie był dostatecznie określony, możnaby go wziąść za postać z późnych czasów tak, że ten mityczny świat Wiślan zdawał się kontrastem. Przejście od jednego do drugiego było nienaturalne. W tym dzisiejszym Kraku dźwięczą jakieś czasy dalekie, jakby przeszłość nieodgadniona, tuż przy ziemi jeszcze, dusza. Co się dzieje w konającym mówią lirnicy, Łopuch i Śmiech, którzy „wiedzieli, że pomrze“, bo „legł niemocą powalon“ starzec-król, a „na ostatek dni, jak gwiazda zaranna gorzał i gasł przy tem wschodzącem Słońcu“. Skonał niedawno, ludek zgromadzony, guślarze, wróże, wróżki, pastuchy, spokojny już teraz, bo wróg odparty mocą Wandy, zasiada naokół do stypy. Wszystko do pogrzebu gotują wedle wskazania guślarza, stos już gotowy dla Kraka i dla Wandy, Polanie bowiem palili swych zmarłych, palili także żony, tu w „Legendzie“ i córka idzie z ojcem na stos. Cały ten ludek, w upiornej chwili nagle się przeobraża, wyjdą z niego trzy kumoski, wyjdą Wiślanie, starcy, wiedźmy i pogrzeb inny sprawią, Wandę na ślub wieczysty poprowadzą. Cały więc ten świat fantastyczny jest na miejscu, wyjdzie z rzeczywistej podstawy. Tymczasem zaś Śmiech i Łopuch siadają u stóp witezia, żeby dźwięków gęśli „dusze na odlocie słuchały“, ich zaś opowiadania mają ton jakby sakralny i archaiczny, że zdaje się, jakoby sami treści nie rozumieli, a mówili, co przekazane od przodków. Wśród niebezpieczeństwa opowiadają o dziejach minionych, szczęśliwych, zapowiadają tajemnicze odrodzenie. Krak zaś napół martwy, leży; na chwilę się budzi, żeby wspomnieć dawne czasy. W tej wyobraźni bujnej a pierwotnej wszystko bierze na się kształty żywe i wyraźne: trzy kumoski, które zjawiają się nagle i nić mu żywota przecinają, działają jak zjawienie naturalne, taksamo wszystko, co nastanie potem, wkroczenie orszaku Wiślan i porwanie zwłok. To ten ludek przeobrażony wiedzie go za świat. Poeta złączył z tym obrzędem Turonia, sięgającego czasów zamierzchłych, istniejącego dziś jeszcze tu i ówdzie. Na jego to grzbiecie, dziwnego zwierza człowieka, żartobliwego, zwłoki Kraka schodzą nad Wisłę.

Warto zastanowić się, w jaki sposób badania uczonych odkryły w Kraku mię-

szaninę pierwiastków rzeczywistych i mitycznych. Oto wnioski nauki, oparte na faktach z późniejszych czasów, szczególniej na bajce o smoku i na pewnych obrzędach, o których niżej: Krak nie jest bóstwem słonecznem, lecz może być rzeczywistym człowiekiem. Podania i legendy kryją w sobie ziarno historycznej prawdy. Legenda historyczna lubi czepiać się i zmieniać ludzi rzeczywistych. I Krak więc mógł być rzeczywistym człowiekiem; nie ma znamion bóstwa, ale może mieć znamiona historyczne ludzkie. Otóż sam tekst kroniki mistrza Wincentego ani Kraka nie zmienia, ani nic mitycztego zeń nie czyni. Rzec można, że kroaika ta daje podanie miejscowe w możliwie najbardziej historycznej formie. Smoka zabił jeden z rzekomych synów Kraka. Dopiero Długosz złączył smoka z samym Krakiem. Otóż walka ze smokiem ma swoje znaczenie w mitologii. Należy bowiem do znanych symbolów, wyrażających bardzo często walkę ciemności ze światłem. Tak istotnie jest w mitologii ogólnej, tu zaś może być reminiscencyą i tę łatwo oddzielić i usunąć, tembardziej, że ów smok zdaje się potworem później znacznie dorobionym do smoczej jamy, w której znaleziono jakoweś kości (Potkański: Kraków przed Piastami). Na tym motywie nie można oprzeć mityczności Kraka. Wszystkie argumenty zdążać też będą do tego, żeby wyłuskać z tego splotu podań o Kraku i Wandzie ziarno historycznej prawdy. Ta jest w Kadłubku i zdaje się wogóle, że poza kronikę mistrza Wincentego (należycie zredagowaną) wyjść nie można.

Wyspiański, jak wiadomo, usunął tę walkę ze smokiem w dal balladową, wszystkie zaś ballad szczegóły mają pewien tajemny związek z późniejszymi losami Wandy, z odparciem wroga. W ten sposób granice ballad są dokładnie oznaczone, nie można ich porównywać z innemi. Mimo to, u Wyspiańskiego, Krak, jak widzieliśmy, przechodzi w postać wieczystą, mityczną, w siłę przyrody. Bo tylko w ten sposób określić można dalekie czasy, zamierzchłe. I takim, jak jest dziś w „Legendzie,“ musiał być Krak wówczas.

Trzeba przyjąć, że mytów nie można szukać w kronikach, ani w historyi, jak najprawdziwszej nawet, lecz w poezyi. W poezyi wykształconej, szlachetnej, powiedzmy doskonałej. W niej zamierzchła tradycya, ostateczną swoją postać szlachetną i nieśmiertelną uzyskuje. Wówczas myt ma znaczenie najgłębsze i najściślejsze. — W tym wypadku poeta usuwa smoka, a bierze Kraka, jako istotę najbardziej rzeczywistą i łączy go z takiemi sprawami, które jego naturę rozszerzają. Zbytnio zaś wielkie znaczenie przypisać potworowi znaczy zatrzeć Kraka i całą legendę. Długosz mógł tę bajkę zaczerpnąć z książek, nie zaś z podania miejscowego, którego odbiciem jest mistrz Wincenty.

W kronikach mamy do czynienia z fragmentami, luźnie, czasem dowolnie powiązanymi, lecz wyobraźnia poetycka, która z odrobiny jakiegoś fragmentu potrafi wysnuć całe zamarłe cywilizacye i ich życie, złączy je węzłem konieczności. Badania doprowadziły do tego, że między podaniami krakowskiemi wewnętrznego związku brakuje, jedynie możliwym byłby jeszcze Krak. Mitologicznej całości trudno w nich dopatrzeć. Tu możnaby powiedzieć, że stosownie do tego, jak się je połączy. Punktu zaczepienia dostarczają fakty obecne sięgające swem istnieniem dalekich czasów, na pewno XVII. w. Obchód „Rękawki„ pod kopcem Krakusa na górze Lasoty w trzeci dzień Wielkanocy uważają za rodzaj wiosennych „Dziadów“. Lecz te wiosenne „Dziady“ obchodzi lud na Rusi i w innych miejscach, do Kraka odnosić się nie mogą. Jestto rzecz wątpliwa, chociaż mogła być wskazówką do połączenia innego obrzędu z podaniem: obrzędu topienia Śmiertnicy. Jestto obchód tzw. pogański. Znają go Długosz i Bielski; musiał więc sięgać czasów bardzo dawnych i najdawniejszych. Obchód „Rękawki“ jest znacznie późniejszy, zbytnio zmięszany z świętem chrześcijańskiem, połączony z odpustem i z św. Benedyktem, pod którego wezwaniem stoi na Krzemionkach kościółek. Tego więc obchodu nie można było połączyć z Krakiem — jest on zbyt historyczny. Tosamo można powiedzieć o wędrówkach Krakowian do wsi Mogiły na odpust tygodniowy, na schyłku lata, w połowie września. Lecz i to nie da się połączyć z podaniem o Wandzie, której mogiłę lud tam usypał. Z tych

faktów możnaby wziąć chyba czas: początek wiosny i koniec lata. Ale połączenie byłoby luźne podań z czasów nieznanych z obchodami późniejszymi, a w każdym razie zbytnio pomięszanymi z nowymi pierwiastkami. — Wyspiański daje w tekscie „Legendy“ najlepszą wskazówkę: mamy do czynienia z obchodem na cześć słońca, wiosenno-letnim. Wiślanie już porwali Kraka, jeszcze zdala dochodzą ich śpiewy ginące w mroku. Łopuch budzi się, zrozumiał rzecz i powiązał natychmiast. Budzi Smiecha: „Król porwan ducha siłą — tej przedświątalnej noce!! — — Smiech: Hen drzewa wichr łopoce. — Łopuch: A jako się godziło — mąż powstał nowy wódz — by wszystko zmódz. — Smiech: Jarowitowa sprawa — w przeddzień rusalnych świąt. — Z Martwicą haj zabawa, — gdy zniknło zboże stąd, — a miasto dziewki wódz — powstał, by wszystko zmódz“. (str. 74). Wyspiański więc wybrał pierwiastki jednolite do jednych czasów należące, zarówno nieznanych i tajemniczych, a jednak w tych obrzędach żyjące pełnem wskrzesonem życiem. „Dawność rusaljów, czytamy u Lelewela (Cześć bałwochwalcza Sławian i Polski) sięga zamdlonych czasów, bo już 691 roku sobory je zakazywały. Obrządków tak nazwanych nie trzeba za jedno poczytywać z nymfami rusałkami czyli ruskiemi pannami“.

W tem wszystkiem idzie oto, że właściwy Krak, ten, który i z dzisiejszymi łączy się czasy nieprzerwaną myślą, zjawia się dopiero w drugiem wydaniu „Legendy“ (1904) i na tym kształcie poetyckim Wyspiańskiego można budować wnioski. Lecz tego nauka nie czyni, jakkolwiek nie waha się wyciągać wniosków z Homera lub z poetów tragicznych, którzy przecież ani kroniką nie są ani historyą. Czasy zaś tragików greckich i nasze obecne są analogiczne: nie ze względu na podobieństwo ducha lub idei, lecz ze względu na to, że tamte wydały, a te wydają, arcydzieła poezyi. W tych tradycya narodu do najszlachetniejszego dochodzi kształtu. To też nie „Achilleis“ należy porównywać z Homerem lub inne dramaty Wyspiańskiego z greckiego świata, bo one nic z nim nie mają wspólnego, lecz właśnie „Legendę“, która znaczenie dla nas mieć musi podobne jak „Iliada“ dla Greków. Różnice zresztą, i znaczne, podano poprzednio.

Z poezyi też, ze sztuki w ogóle najdokładniej mówi życie narodów. Poezya daje odrazu obraz pewny, widzi związki tam, gdzie ich nikt nie spodziewał się, nauka musi się silić na obrazu tego opisanie i musi unikać zbytniego alegoryzowania, obcego naturze mytów, a będącego wówczas domysłem, możliwym, lecz niekoniecznym. Cała rzecz w tem, żeby za poezyę nie uważać wyłącznie utworów, mających kilkaset lat lub wieków. Platon umiał oryentować się w poezyi współczesnej. Powinien być wzorem. Tylko w ten sposób nauka żyć może, ciągle świeża.

Powiadają nadto, że każdy wielki myt ma znaczenie moralne, które jest prawdą po wszystkie czasy. Prawdopodobnie nie mylą się, którzy tak mówią. Lecz to zbyt ogólne, musimy przyjąć, że to znaczenie jest ścisłe, ludowe, narodowe, które jest prawdą po wszystkie czasy.

Wyobraźnia poetycka pojmuje wieczność i nieśmiertelność, te pojęcia tak bardzo oderwane, w sposób najbardziej określony, jako nieustanne odradzanie się przyrody w nieskończoność. Dlatego chwila śmierci jest pełna tajemnic, jest chwilą zmartwychwstania i odrodzenia. Wiadomo wszystkim, że wyobraźnia grecka stworzyła cały jakby odrębny świat podziemny, do którego duchy idą bohaterów. Atoli brak właściwego poczucia natury sprawił, że nie umiano łączyć tych tworów z myślą przyrodniczą odrodzenia. Rzec można, że tu konstrukcya artystyczna zbytnio od natury oddalając się, uczyniła ze świata podziemnego rzecz oderwaną. Atoli pamięć powszechna czuła, wspominając, że tam jej soki żywotne, jej młodość, jej przeszłość, jej dusza, jej niewinność. Świat ten był zapełniony cieniami bohaterów, którzy za światem górnym tęsknili bezpłodnie, świat ten był jakby glebą nieurodzajną.

Poczucie przyrody jest dziś i u nas inne, pełniejsze i głębsze. Wyobraźnia poetycka, snująca z rzeczywistości pojęła wieczystość jako rozległe pole śmierci, zapełnione rojami zmarłych, idących w czasy zamierzchłe. Pojąć nietrudno, jak kult zmarłych np. „Dziady“ są właściwie najbardziej wybujałym kultem życia i przyrody.

(Nie zawsze, co prawda, łączy się z tem ta świadomość). Szukającemu wieczności w abstrakcyach poeta wskazuje grunt pod nogami: ziemia, zmarli wszyscy, dno rzeki, które wszystko przechowują, a których człowiek jest przedłużeniem na górnym świecie. Taki przybytek wieczności ma swoje miejsce określone, poezya inaczej nie chce i nie umie, na tem jej siła polega: w Krakowie, to dno Wisły pod Wawelem, wyrosłym na wysiłkach zmarłych bohaterów, którzy tu legli. Dla jednej rzeczy żyją i dla jednej giną. Jest to kolebka narodu i miejsce pośmiertnego życia. Z pustych głazów wyrosło zamczysko, jakby się wydarło objęciom Martwicy, któremu Wanda na zawsze poślubiona. Martwica jest i symbolicznym bałwanem, którego używa lud w obrzędach na cześć lata, i istotą rzeczywistą, wieczystą. Na te rozległe pola podziemne, na których panuje Martwica, idą cienie zmarłych szukać błogiego zapomnienia trudów przebytych, i stamtąd wydzierają się na światło ku życiu.

Czyn Wandy przedstawiony w „Legendzie“ ujęty w formułkę opiewałby może tak: Wanda w „Legendzie“ stwarza tradycyę. Dla tej sprawy, której ona poświęciła swoje młode życie, poświęcać będą życie przyszłe pokolenia, czy chcieć będą czy nie. To się w nich odezwie i do czynu pchnie mocą nieprzewidzianej siły, która ich do życia powołała. Ta sama siła ich na śmierć pogna. Zmierzch to, Świtanie, Ciemność, Słońce, nie wiadomo. — Dlatego śmierć Wandy była konieczna. — Wanda zeszła w ten grób dla Sławy, Sława przez pokolenia coraz nowe ofiary pochłaniać będzie i coraz nowe na świat wydawać, wieczysta.

(Warto zanotować szczegół, że wianek Żywi ma coś krwawego i, że wedle dawnych wierzeń tylko krew ludzka zdołała zabezpieczyć nową osadę od działania złych mocy. Powtóre, że w I. wydaniu związek Wandy z Wisłą był zaznaczony luźnie zapomocą dziś istniejącego jeszcze podania o pałacach podwodnych, w których słońce nocą mieszka i, w których królowa Wanda żyje otoczona gronem niebiańskich postaci, Wiślan, Wiślanek, Topielców.)

W ten sposób znajdujemy w dziełach Wyspiańskiego rzecz, o którą bardzo trudno w tym stopniu, co u niego, u innych poetów: idziemy tu w linii prostej od Mickiewicza. Ludzie Wyspiańskiego unoszą wyobraźnię w swoje środowisko, a z tego ona wyszedłszy pojmuje kulturę, więc i przyrodę. Te dwa pojęcia schodzą się w ostatecznej konsekwencyi. Są to postaci na poły wieczyste, mające przytomny w sobie cały zasób zdarzeń, historycznych czy przyrodniczych (to u Wyspiańskiego zespala się w jedno zawsze), w których granicach obracają się. Ludzie ci mają kulturę, to znaczy na gruncie, na którym się znajdują i w chwili, w której żyją, mają przytomne wszystkie kształty i wszystkie zdarzenia tego gruntu i tej chwili. Stąd przenoszą się w inne kształty i w inne czasy z niezwykłą szybkością. Grunt ich urabia, kształtuje im dusze. Czasem także idea, zbyt oderwana od gruntu, a działa w ludziach jak moc przyrody, urabia im dusze i serca, wówczas zjawia się kultura idei: tak Mickiewicz (w „Legionie“) idący z ideą wolności ludów do Rzymu staje się na forum romanum Brutusem w obliczu Cezara. Zwykłą formułką ujęte brzmi to: prawo stylu. (Czasem, jak w tymże „Legionie“ ukazuje się to w formie kontrastu. W kopule św. Piotra w Rzymie zjawia się dawny świat litewski z Mendogiem, którego już Mickiewicz, porwany ideą, nie widzi.) Można tak wytłumaczyć owo wkroczenie Wiślan i wszystkie obrzędy przy zmarłym Kraku.

Działanie przyrody jest tak silne, że ludzie pod jej wpływem, jak to już zaznaczono, wchodzą w role przyrodnicze, które ich istotę rozszerzają i określają równocześnie. Motywy osobiste i ciasne, przeobrażają się na powszechne. Każdy krok znaczy się duchem, siłą przyrody. Postać otrzymuje przeto znamiona istoty zbiorowej; dramat dramatu zbiorowego. Połączyć gród Wawelski z śmiercią Wandy, znaczy ustanowić naturalny i nieprzerwany bieg dziejów od najdawniejszych czasów, aż do obecnych. Motyw osobisty podania nieco książkowego, mówiącego o Niemcu gachu, zamienił się na motyw powszechny, rozległy. Musi więc początki swoje mieć w przyrodzie, w otoczeniu.

Śmierć Kraka jest i chwilą zmartwychwstania. Wanda podejmuje jego dzieło.

Krak, istota, na której całe urosną pokolenia, musi mieć związek z przyrodą, tu urasta do wieczystej postaci Śmierci, która w kolejnych przemianach pór odradza się. W tym kształcie nieodgadnionym i bezimiennym, wydaje się obrazem i znakiem owego wieczystego świata podziemnego, z którego nowe wyrastają pokolenia.

Widać zatem, jak głękoko artystycznie uzasadnił poeta połączenie obrzędów symbolicznych: Topienie Martwicy i święta rusalnego z Krakiem i Wandą. Dopiero bowiem w połączeniu z tymi obrzędami postaci te do swoich zamierzłych należą czasów i są mityczne i rzeczywiste. W odosobnieniu uważane te obrzędy mogą mieć znaczenie rozmaite, złączone z Krakiem i Wandą, tłumaczą ich tragedyę, niezmienny bieg zdarzeń, nieuchronną przemianę Zimy i Lata, słońca i ciemności. Krak i Wanda nieodgadnioną mocą parci wchodzą w role kultu na cześć przyrody, więc też jej prawom podlegają. Żyją i giną wedle jej praw i odradzają się.

Oczywiście niema mowy o tem, aby Krak był bóstwem, albo Wanda. Święta rusalne znane są w bardzo dawnych czasach i w rozmaitych miejscach Polski. Wątpić również należy, aby Wanda czci boskiej doznawała, chyba czci heroicznej. Taksamo Krak. Herosowie, o ile poezya przedstawi ich żywot doskonale, łatwo w siły przyrody przeobrażają się. Tak u Wyspiańskiego. Owe zaś obrzędy symboliczne są tajemną logiką zdarzeń, określają i miejsce i czas, w których zdarzenia się toczą i dają zdarzeniom znaczenie powszechne, zbiorowe, historyczne; bez nich ludzie i zdarzenia są oderwane przeważnie, jednostkowe. Wypadki, które się toczą, nie są dziełem wyłącznem ludzi, lecz wspólnem ludzi i przyrody — mają w ten sposób piętno konieczności, którego niedostrzega oko nie artystyczne.

Owe istoty, wyobrażające siły przyrody są istotami żywemi zupełnie, nie zaś bóstwami oderwanemi. — Martwicy w pierwszem wydaniu „Legendy" niema. Są tam Martwice, sześć postaci wyobrażających Śmierć, ale są to tylko znaki, zjawiają się i znikają. — Owe zaś istoty, idąc za poszeptem chwili giną i odradzają się wedle praw przyrody; w stanowczej chwili biorą na się kształt inny, kres ich życia ziemskiego i myśli jest także kresem sił przyrody.

Nasuwają się tu analogie z postaciami mitologii greckiej, więc np. Pluto, Orcus, Proserpina (Długosz mówi, że Nija jest Plutonem). Lecz toby nas do innych zawiodło dziedzin. Musi nam wystarczyć tu przedziwna uwaga Lelewela, który dwoistość bóstw, dwupłciowość przypisuje językowi i ma za rzecz obojętną, czy Nija jest Plutonem czy Proserpiną. Również do Lelewela odniesiemy się, gdy szło będzie o oznaczenie wieku mitologii greckiej i słowiańskiej. Prawdopodobnie grecka jest młodsza. Tu nam szło jedynie o pojęcie mitycznego podziemia: Hades, Orcus i tp., o jego znaczenie. Pojąć je należy nie jeno jako kres jakiś niepowrotny, jako pole śmierci na zawsze od życia odcięte, ale jako początek, zamierzchły, a historyczny, nieznany, a pewny, bo tkwiący w obecności, w przyrodzie. Śmierć i życie łączy się w ten sposób w jedno.

Nie należy oczywiście wnioskować z tego, że Krak i Wanda to bóstwa podziemne. Tyle jedynie, że ich dalekość i mglistość przez te właśnie obrzędy symboliczne, z tych samych czasów, zbliża się czasem, a oni żyją skutkiem tego wieczyście w własnej swojej atmosferze. W tych sprawach nieznaczne dotknięcie wystarczyć musi, wniosków wyciągać nie można lecz wskazać możliwe powiązania. Wnioski bowiem pozornie zwarte, burzą rzeczywiste kształty, a o te przedewszystkiem idzie.

Nadto, że tak pojęte postaci Kraka i Wandy jedynie odtwarzają atmosferę i życie dalekich czasów, do których niewątpliwie należą. Te zaś czasy istnieją i dzisiaj wśród tych warstw ludzi, które wiekami nietknięte naturę dawną zachowały.

Widzieliśmy, jak Śmiech, mówiąc o świętach rusalnych zaznaczył ich istotę: śmierć i zmartwychwstanie. Wanda podejmie dzieło Kraka, Krak się niejako w niej odradza. Dlatego znika, żeby odżyć, dlatego porywają go Wiślanie, tak zaznaczono jego wieczystość. Historycznie zaś tragedya jest zupełna z temi postaciami, które wprowadził Wyspiański: Krak i Wanda. Wiele danych nie miał: obecny stan legendy i kronikę. Inne postaci nie wchodzą w ramy dramatu, nic nie wyjaśniają, mogą być tłem, podaniem, baśnią. Wyspiański też zaznaczył, że osobami tragedyi są Krak,

Wanda, Smiech i Łopuch. Dochodzi się w końcu do tych ostatecznych wskazań: siły przyrody: oto istotnie jaknajdalsze początki, lepszego pojęcia o tem, co zamierzchłe, nic dać nie zdoła. Granicy bowiem czasu nikt tu nie pociągnie — jest coś wieczystego i z gruntu wyrastającego.

Nasuwają się jeszcze analogie z Dianą, szczególnie je nasuwa ballada „Welesie świć“ — lecz o tych pomówimy w rozdziale o „Meleagrze“.

St. Lack.

OD REDAKCYI.

Dochodzą nas wciąż reklamacye — pomimo, że numera najregularniej są wysyłane — upraszamy zawsze reklamować na poczcie —a zaginione numera przesyłamy na żądanie po raz drugi.

Przypominamy koniec kwartału tym, którzy nie uiścili dotąd prenumeraty i prosimy o rychłe odnowienie jej na przyszły kwartał.

Zjednywanie nowych prenumeratorów i nadsyłanie adresów dla rozsyłki numerów okazowych — są konieczne, aby utrwalić byt naszego pisma i usunąć coraz cięższe do zwalczania deficyty. Przypominamy to bardzo gorąco przyjaciołom „Nowego Słowa“ i sprawy, o którą walczymy.

Redakcya.

Podczas wakacyi, z powodu rozproszenia się stałych współpracowników — »Nowe Słowo« wychodzić będzie raz na miesiąc 15-go w podwójnej objętości Następny zeszyt wyjdzie 15. września.